

NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 3 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor., 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts. — Rocznie 4 dol. 60 cts.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

Redakcya i administracya KRAKÓW XV.
Nowowiejska 83 (dom własny). Telefon Nr. 479.

Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, w Warszawie, Aleja Jerozolimska 78.
Prenumeratę przyjmuje Biuro UNGRA w Warszawie, Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Rok X. **Kraków, 2 sierpnia 1913.** **Nr. 31.**

Wojna domowa w Chinach.

(Treść na str. 2).



Wojna domowa w Chinach.

(Do illustracyi tytułowej).

Kraj wielkiego smoka, mimo nowych rządów, nie może jakoś dojść do równowagi i uspokojenia. Nowy rząd pod wodzą Juanszikaja zdawał się mieć już ustalony wpływ na losy republiki, zwłaszcza, że zaciągnąwszy pożyczkę u mocarstw europejskich, rozporządzał dostatecznymi zasobami finansowymi. Przeciw temu rządowi wystąpili jednak chińscy nacyonaliści, którzy w południowych prowincyach Chin prowadzili usilną agitacyę. Przez pewien czas agitacya ta była cichą i spokojną. Nagle przed kilkunastu dniami nadeszły z Chin wiadomości, że prowincye południowe powstały i rozpoczęła się wojna domowa.

Bezpośredni powód do niej, faktycznie jednak czysto formalny, dała sprawa usunięcia generała Lilie-tszuna, dowodzącego wojskami prowincyi Kiang-si. Generał ten, kiedy otrzymał dymisyę, zbuntował dziesięć batalionów i uderzył na wojska rządowe.

Rewolucya rozlała się po całej dolinie Jang-tse, a powstańcy zdobyli Nankin i ruszyli ku Pekinowi. Wojska rządowe zdołały się jednak dosyć szybko zebrać i uderzyć na powstańców. Według ostatnich wiadomości wojska rządowe odniosły pod Wusung zwycięstwo, a wódz powstańców uciekł.

Wojna domowa potrwa jednak w Chinach dłuższy czas, a jakie będą jej ostateczne wyniki, trudno dziś osądzać. Wkażdym razie rok 1913 jest rokiem krwawych zawieruch, bo wre dziś zacięta, bratobójcza walka nie tylko na Bałkanach, ale i na Dalekim Wschodzie.

Z pola walki na Bałkanach.

Żyjemy w czasach, gdy codziennie telegramy roznoszą po świecie sensacye, które wstrząsają opinią publiczną. Druga wojna bałkańska ogarnia cały Bałkan, Turcy maszerują na Salonikę, Rumunia obsadza Sofię, — oto sensacye dnia, które jak grom spadają na głowy polityków europejskich.



Z pola walki na Bałkanach: Na zdobytym przez Greków szańcu bułgarskim pod Kilkiz.

Sytuacya drugiej wojny bałkańskiej w chwili, kiedy piszemy ten artykuł, przedstawia się dla Bułgaryi wprost rozpaczliwie. Rumuńskie wojska dotarły na kilkanaście kilometrów odległości od stolicy Bułgaryi. Podobnie także wojska serbskie i greckie, pędząc przed sobą cofające się armie bułgarskie, doszły już do starych granic bułgarskich i także dążą do Sofii.

Ostatnia ruszyła się Turcya. Widzi ona, że obecnie nadeszła sposobność do odebrania swych utraconych terytoryów, to też rada ministrów w Konstantynopolu wbrew przestrogom całej Europy oficyalnie wypowiedziała wojnę Bułgaryi, a armia turecka rozpoczęła także zwycięski pochód.

Połowa terytoryów, którą w pierwszej wojnie bałkańskiej państwa związkowe zdobyły, znajduje się znowu w rękach tureckich. Adryanopol i Kirkilise padły prawie bez wystrzału, a wojska tureckie na południu Bułgaryi stoją już u jej starych granic.

Wobec niemożliwości prowadzenia wojny na cztery fronty, Bułgarzy podjęli rokowania pokojowe z Rumunią, Serbią i Grecyą. Idą one bardzo powoli i opornie, gdyż zarówno Serbia, jak i Grecya nie chcą rozpocząć rokowań definitywnych póty, dopóki Europa nie da im absolutnych gwarancyi, że traktat nowy będzie dotrzymany.

Rokowania mają się odbywać w Bukareszcie. Weźmie w nich udział premier Pasicz imieniem Serbii, Vukoticz imieniem Czarnogóry i bułgarscy delegaci: gen. Paprikov i Iwanow, oraz premier grecki Venizelos.

Czy wojna bałkańska nie zamieni się w zawieruchę, która rozszaleje nad całą Europą, dzisiaj przewidzieć trudno. Faktem jest, że zarówno Rosya, jak i Austrya przygotowują się do stanowczych kroków u państw walczących. Kroki te łatwo prze-



Z pola walki na Bałkanach: Transportowanie rannych Serbów po bitwie pod Bregalnitzą.





Z pola walki na Bałkanach: Oficerowie i żołnierze tureccy, którzy podczas pierwszej wojny bałkańskiej przeszli granicę i przez czas dłuższy byli internowani w Ungwarze na Węgrzech.

mienić się mogą w interwencyę zbrojną, co z pewnością nie pozostałoby bez następstw dla ogólnej polityki europejskiej.

Austro-Węgry na razie prowadzą akcyę pośredniczącą nawet wobec Turcyi. W tych dniach odesłano z Węgier do Konstantynopola przeszło 1000 żołnierzy tureckich i oficerów, którzy w czasie pierwszej wojny bałkańskiej przeszli granicę austryacką i zostali rozbrojeni. Część ich przebywała na Węgrzech w miejscowości Ungvar. Ten akt grzeczności miał niewątpliwie na celu zadokumentowanie przyjaznego stosunku do Turcyi i ułatwienie interwencyi.

Illustracye nasze przedstawiają szereg ważniejszych momentów z drugiej wojny bałkańskiej, oraz żołnierzy tureckich i oficerów w Ungvarze.



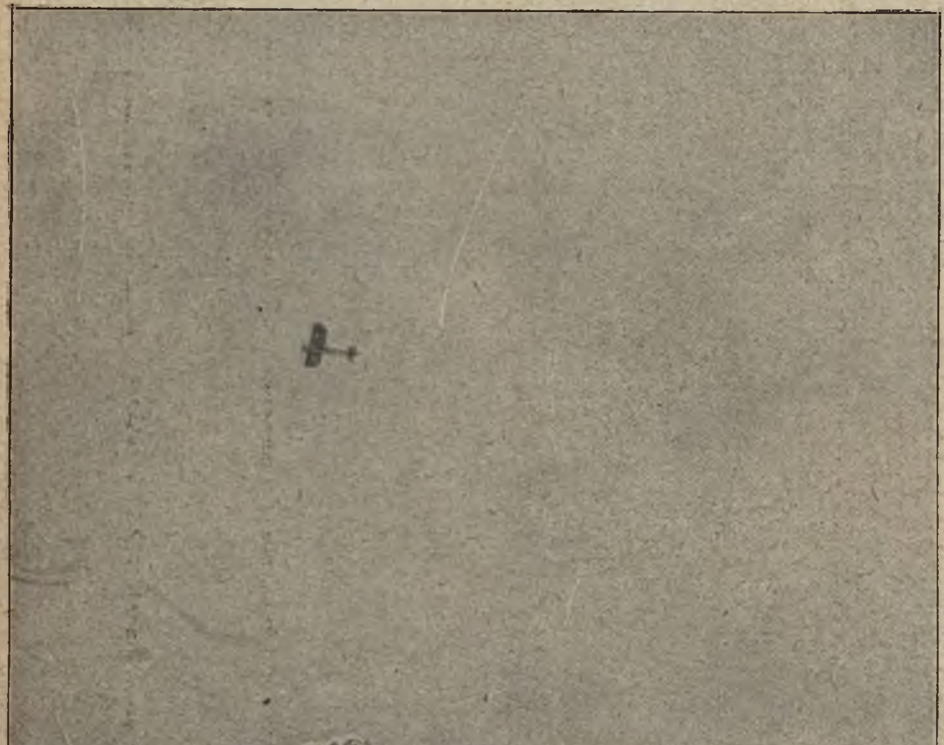
Echa katastrofy żywiołowej: Powódź w Oświęcimiu.

Aeroplanem przez Alpy.

Zdobycie powietrza przez aeroplany jest już dzisiaj faktem dokonanym. Rekordy wysokości, zdobywane przez poszczególnych pilotów, wykazały, że człowiek potrafi się wznieść prawie na wysokość najwyższych gór świata. Nie ma już dzisiaj okolicy, dokądby aeroplanem dotrzeć nie można. Geniusz ludzki, doskonalący coraz bardziej aparaty lotnicze, doprowadzi prawdopodobnie do tego, że aeroplany, kasując zupełnie balony, zawładną w przyszłości w zupełności powietrzem.

Jednem z przedsięwzięć, które od szeregu lat interesowały lotników, była przeprawa przez śnieżyste szczyty Alp. Przed trzema laty nieszczęśliwy lotnik Chavez, który przeleciał nad Simplonem, zginął u celu swej podróży. Później kilkakrotnie próbowano z różnem szczęściem wzlotów nad Alpami. Jednym z ostatnich był przed kilkunastu dniami pilot szwajcarski Oskar Bider, który przeleciał z Berna do Medyolanu ponad szczytem Jungfrau na wysokości 3700 m.

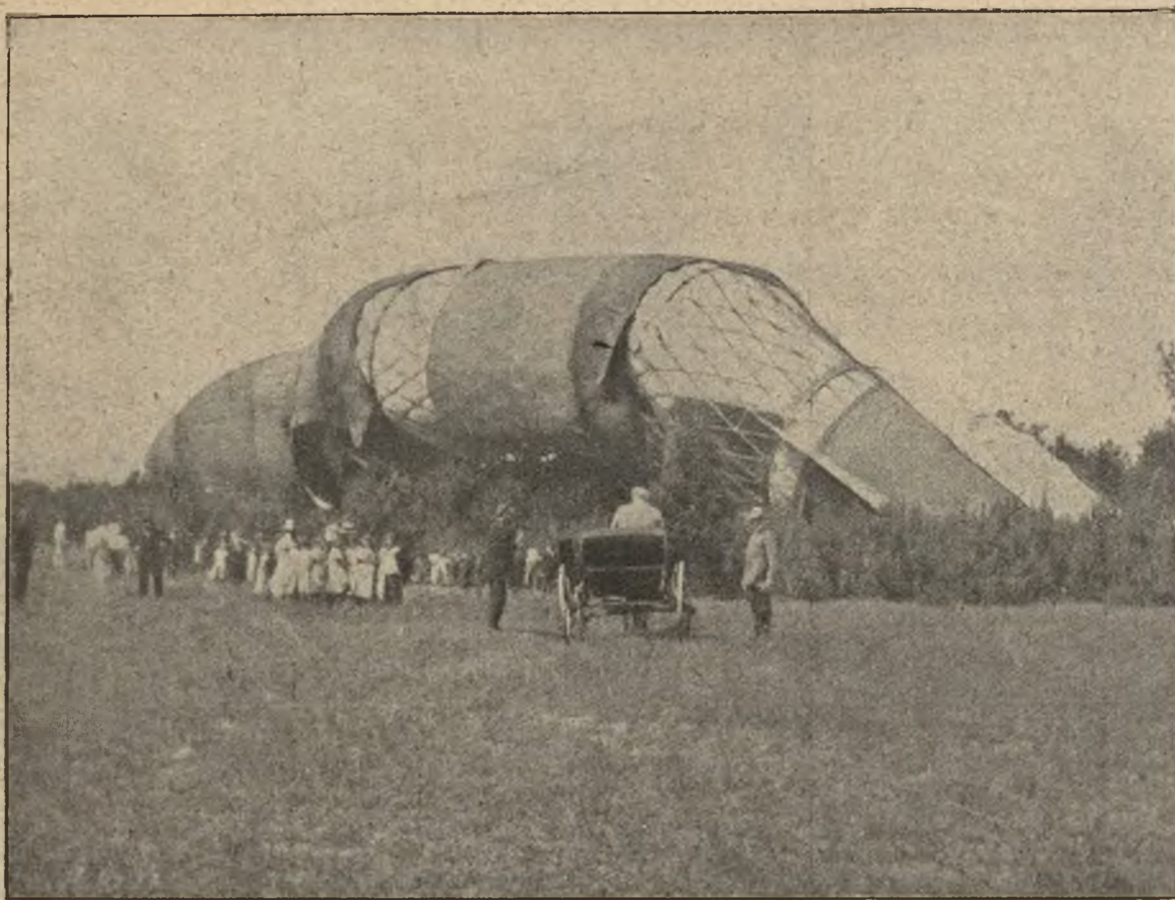
Już w pierwszych dniach tego miesiąca próbował odważny lotnik, liczący zaledwie dwadzieścia dwa lat, wzlecieć nad szczytami w okolicy Berna, musiał jednak wylądować przedwcześnie, gdyż jego aparat systemu Blériota okazał się za ciężki do takiej przeprawy. Dnia 13-go lipca ponowił swą próbę. O świcie wzleciał z pola awiatycznego wojskowego pod Bernem i powoli wzbił się na wysokość 3000 m., poczem skierował się w kierunku Jungfrau. Górę tę, liczącą 3470 m. wysokości, przebył Bider, lecąc na wysokości 3700 m. Oczekiwali tutaj naprzód wysłani obserwatorzy, którzy zdjęli ze szczytu góry aeroplan, szybujący nad lodowcami. Następnie przeleciał lotnik jeszcze kilka wyższych szczytów i dobił



Aeroplanem przez Alpy: Lotnik Bider nad szczytem Jungfrau.



Z pola walki na Bałkanach: Jenerał serbski Jankowicz z swym sztabem opuszcza po nabożeństwie katedrę w Üskübie.



Trofea niemieckiego lotnictwa: Balon „Schütte Lanz" po katastrofie.

do Domodossola, gdzie wylądował w tem samem miejscu, co przed trzema laty Chavez. Tutaj zabrał świeży zapas benzyny i oliwy, poczem poleciał dalej ku Medyolanowi.

Z Berna wzbił się o godz. 4-ej rano, w Medyolanie zaś wylądował o godz. 8-ej min. 42. Drogę długości 230 klm. przebył Bider w 4-ch godzinach 42 minutach. Dzielny pilot przywiózł dla rady miejskiej w Medyolanie list z pozdrowieniami od rady miejskiej w Bernie.

Illustracya nasza jest właśnie ową fotografią, zrobioną na szczycie Jungfrau.

Spalona świątynia.

(Do illustracyi na str. 10).

Pożary są, niestety, w kraju naszym klęską, która stale nawiedza nasze wsie i miasteczka. Zwłaszcza



Z pola walki na Bałkanach: Prezydent gabinetu bułgarskiego Pasicz i szef rządu greckiego Venizelos na konferencyi w Uskübie.

podczas lata padają pastwą płomieni drewniane domy i chaty włościańskie, niezabezpieczone należycie przed ogniem. W roku bieżącym ten „sezon pożarowy" pochłonął jedną ze świątyń pod Warszawą. Mianowicie we wsi Kazuń, w gminie Cząstków spalił się doszczętnie stary kościółek drewniany. Zanim zauważono pożar i zaalarmowano parafian, z kościoła pozostały tylko zgliszcza.

W dzisiejszym numerze zamieszczamy widok spalonego kościoła i plebanii.

Trofea niemieckiego lotnictwa.

W poprzednim numerze pisaliśmy o nowej katastrofie balonu niemieckiego „Schütte Lanz" w Schneidemühl pod Berlinem. Balon ten, systemu Zeppelina, wykazał jeszcze raz niepraktyczność tego rodzaju okrętów powietrznych, które miały być dumą niemieckiej wojskowości. Okazało się bowiem, że „Zeppeliny" mogą doskonale funkcyonować, ale tylko podczas pogody. W czasie burzy natomiast stają się igraszką wichury, co wobec ogromu tych balonów powoduje mniej lub więcej groźne katastrofy, kończące się zawsze zupełnem zniszczeniem tych olbrzymich okrętów powietrznych. W ten sposób Niemcy



Echa katastrofy żywiołowej: Powódź w Oświęcimiu.

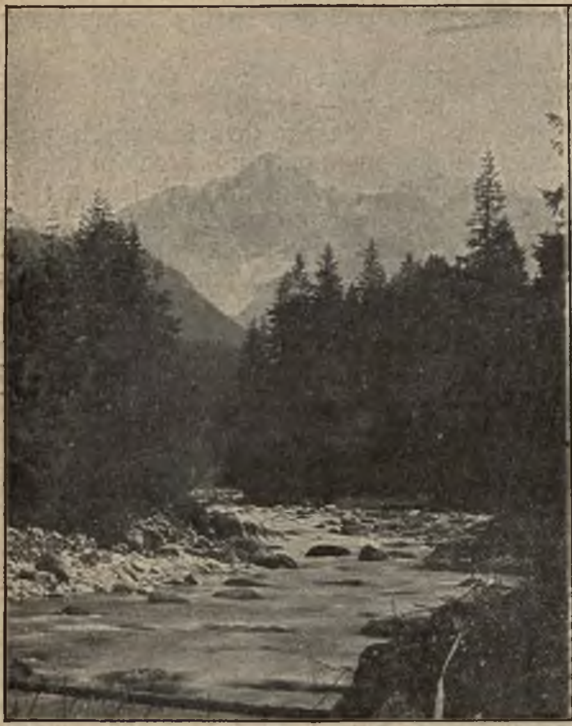
utopiły już miliony w swej flocie powietrznej, o „zdobyczach" której dowiadujemy się najczęściej dopiero wtedy, gdy znowu jaki „Zeppelin" padnie ofiarą katastrofy, a z balonu pozostaną tylko szczątki.

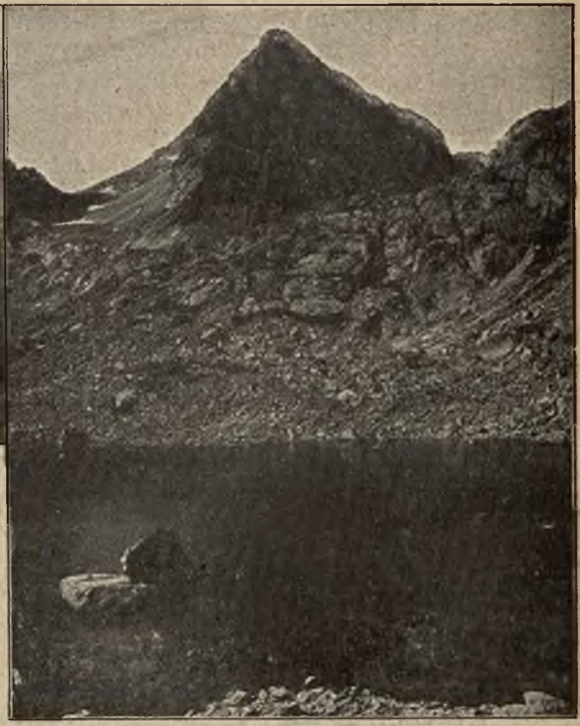
Tak samo się stało z balonem „Schütte Lanz", który przed rozpoczęciem podróży został porwany wichurą i po kilkogodzinnem błąkaniu się w powietrzu, doznał losu swych poprzedników, t. j. spadł i uległ niemal zupełnemu zniszczeniu.

W dzisiejszym numerze zamieszczamy właśnie te nowe „trofea" niemieckiego lotnictwa — balon „Schütte Lanz" po katastrofie.



Z pola walki na Bałkanach: Król grecki Konstanty wydaje rozkazy na linii bojowej.





ARTUR GRUSZECKI

POD CZERWONYM WIRCHEM

23

— Zato pan jesteś nieznośnym, starym kawalerem, — zaśmiała się pani Mniewska.

— W każdym razie bez rogów, — wstał od stołu za przykładem innych.

Pani Wanda, czując niechętny dla siebie nastrój towarzystwa, uważała, że byłoby tryumfem dla tych pań, gdyby cofnęła się do swego pokoju. Dowodziłoby to bowiem, że odczuła ich ukryte pociski. a nie chcąc zostać tylko z panem Borowieckim, zaproponowała Rycie, ażeby się z nią przeszła.

— Jestem zmęczona, — odpowiedziała Ryta dość kwaśno.

— Siądziemy w salonie, to chyba cię nie zmęczy, — uśmiechnęła się pani Wanda przyjaźnie.

— Czy już cię znudził pan Borowiecki? — szły w głąb salonu.

— To nie, ale i dobrego bywa czasem za dużo, — zaśmiała się.

— Jak widzę, lubisz naprawdę zmiany, — usiadły na ustronnej kozetce.

— Więc i ty przeciw mnie! — zawołała półżartem, — naprawdę nie rozumiem, dlaczego te panie, a zwłaszcza pani Porecka, czynią złośliwe aluzye. Zostawiłam im przecież pana Jedlińskiego na własność niepodzielną.

— Może, ale zrobiłaś to po odniesionym tryumfie i on z tej odzyskanej wolności nie kwapi się korzystać.

— To już nie moja wina.

— Nie wiem.

— Jakto, Ryto? — zdziwiła się, — czy nie wiesz, że on dla mnie nieznośny był i jest?

— On jednak skarży się, że ty go łudziłaś, że był zabawką w twych rękach... i że tak samo postępujesz z panem Borowieckim.

— Także coś nowego, — oburzyła się, — pan Jedliński narzucał mi się, prześladował swemi czułościami, był nieznośny i wstrętny.

— No, a pan Borowiecki? — spytała Ryta z pozorną obojętnością.

— Pan Borowiecki jest tylko bratem mej koleżanki i przyjaciółki. Nie narzuca się i nie nudzi mnie wynurzeniami głupiemi.

— I dlatego go lubisz?... A może coś więcej? — zarumieniła się wbrew woli, co dostrzegła pani Wanda i rzekła wesoło:

— Tym pannom to zaraz miłość w głowie!... Ach, dzieciaku, ja a miłość!? — zaśmiała się, — jestem schorowana, przygnębiona kobieta, mam męża i dziecko i pragnę tylko zdrowia, niczego więcej.

— Ażeby wrócić jak najprędzej do męża, — dodała Ryta z niewinną miną.

— Naturalnie.

— Więc dlaczego pozwalasz na to, ażeby on był zawsze z tobą?

— Czy to moja wina? Ostatecznie, lubię jego towarzystwo... on jeden nie dokucza mi tutaj.

— No, a ja?

— Ach, ty, Ryto, jesteś bardzo miła i dobra, czasem jednak i ty umiesz ukłóć.

— Kiedy? Jak?

Nie było czasu na odpowiedź, gdyż pan Borowiecki, który krążył po salonie, zbliżył się, pytając z uśmiechem:

— Czy to spisek? Może narada nad wycieczką? Wypogodziło się, czy nie przejdą się panie?

— Nie wiem, — bąknęła Ryta, patrząc z pod oka a badawczo na oboje.

— Chodź z nami, Ryto, — zachęcała pani Wanda.

Ryta leciutko przybladła; to słowo: „z nami" dotknęło ją boleśnie i powiedziała dość ostro:

— Nie! Nie pójdę z wami... Mama mnie potrzebuje.

— Jeśli ty, Ryto, nie pójdziesz, zostanę i ja.

— Niepotrzebnie odmawiasz sobie przyjemności... ja muszę zostać.

Dalsza rozmowa jakoś się nie kleiła, wreszcie Ryta wstała i chciała odejść.

— Zaczekaj, Ryto, pójdziemy razem, — wstała pani Wanda, a idąc z nią, spytała:

— Dlaczego nie chciałaś przejść się?

Ryta z goryczą spojrzała na nią, miała na ustach gotową odpowiedź, że nie nadaje się na „dame de compagnie", ale wstrzymała się i rzekła spokojnie:

— Wiesz przecież, że mama mnie potrzebuje, a ja należę do obowiązkowych, — podkreśliła ostatnie słowo.

— To prawda, Ryto, i podziwiam cię.

— Za wielkie słowo, — uśmiechnęła się ironicznie i podając rękę: — do widzenia, Wandziu.

Pani Wanda odczuła chłód Ryty i zestawiając ostatnią rozmowę z różnymi drobnymi szczegółami, jak: nagłe rumieńce Ryty przy wejściu Borowieckiego, jej twarz rozjaśnioną, połyskliwe oczy i dźwięczny głos, gdy z nim rozmawiała, przyszła do przekonania, że Ryta zajęta jest Borowieckim i zezdrosna o niego. To przeświadczenie zrobiło jej przykrość. Szczerze pożałowała Ryty, którą lubiła i ceniła. I jaka szkoda, że ten Borowiecki nie pokochał Ryty, byłaby może szczęśliwa, ale co ona na to poradzi? Dzisiaj Ryta była już inną i będzie inną. I jaka to przykrość, że właśnie Ryta, która jej zawsze okazywała sympatyę, zmieniła się i teraz ubyła jej ta życzliwa dusza.

Ujrzała się osamotnioną w otoczeniu nieżyczliwych, a że nie poczuwała się do żadnej winy, opanował ją wielki żal do świata i ludzi. Nikomu nic złego nie zrobiłam, rozmyślała, usiadłszy w swym pokoju, nie skrzywdziłam nikogo, brzydzę się obmową, plotkami, fałszem, a jednak jestem taka nielubiana i taka nieszczęśliwa.

Mąż robi mi wiecznie wymówki i skarży się na mnie, z krewnymi jestem daleka, a i tu, gdy tylko przyjechałam, otoczyła mnie atmosfera niechęci i niedowierzania.

Z właściwą chorym i nieszczęśliwym zaciekłością rozpamiętywała swe życie tutaj i dziwnie jaskrawo uprzytomniały się jej nawet najdrobniejsze ukłócia słowami, spojrzeniami, minami towarzystwa, w którem przebywała.

Rosła w niej gorycz, widziała siebie ofiarą niesprawiedliwości i prześladowania. Całe życie wydało się jej posępną i męczącą drogą, którą ona idzie samotna i opuszczona. Wspomnienie dziecka tylko ją bardziej rozgoryczało, gdyż z jej to winy przyszło na świat to dziecko, które odziedziczyło jej usposobienie i będzie takie nieszczęśliwe, jak ona.

Tak była przejęta swemi myślami, co na kształt czarnych, groźnych chmur zawisły nad nią, że nie słyszała dyskretnego zapukania do drzwi, które cicho się otworzyły i do pokoju wszedł pan Borowiecki z przyjaznym uśmiechem:

— Czy nie przeszkadzam?

Dla niej było to tak obojętne, kto wchodzi i kto mówi, że powiedziała odruchowo:

— Nie... proszę.

Jakąś chwilę trwało milczenie, które przerwał Borowiecki, pytając miękko:

— Co pani? Pani taka zmieniona, posępna, czy spotkała panią przykrość?

— Na razie nie, ale dlaczego tak nierównomiernie obdziela los ludzi, jednemu wszystko się wiedzie, a za drugim idzie w ślad smutek i żal? — powiedziała sennym głosem.

— Pytanie stare, jak świat, — uśmiechnął się, — a dowodzi tylko osłabienia woli i energii życia.

— Tak pan sądzi, — mówiła, zatopiona jeszcze w swych myślach.

— Gdy wszedłem, pani otuliła się cała smutkiem i przygnębieniem, a oczy przesłoniła pani tak szczelnie, że nie dostrzegają budzącej się radości wiośnianej, błękitu nieba, wspaniałych wirchów i wieńców ciemnych lasów.

— Nie widzę tego i nie czuję, — powiedziała apatycznie.

— To w zupełnym porządku, ale spróbuj pani otworzyć oczy, otrząśnij się z mgieł smutku i zwątpienia, a zniknie zmora ciężkiego snu.

— Gdyby to było tylko snem!? — uśmiechnęła się blado.

— Łatwo może się pani przekonać, wystarczy wstać i wyjść z dusznego pokoju na świeże powietrze... Teraz są przepiękne wiosenne zachody... Opłaci się chwilowy przymus.

I jak dobry, troskliwy brat, pomógł jej ubrać się, zamknął pokój i wyszli w stronę Kuźnic.

Powietrze było przeczyste, przepojone świeżością wiosny, która rozbudziła do życia senne lasy, udzieliła górskim potokom srebrnych dźwięków i harmonijnych poszumów, a wirchy, sięgające błękitu, ustroiła w świetlne aureole. Czuć było, że w promieniach słońca idzie nowe życie, nowa radość, nowy cud odrodzenia, miłości i piękna.

Ten spokój w naturze, te rozświetlone wirchy i lasy podziałały kojąco na rozbujałe nerwy pani Wandy, uciszała się burza wewnętrzna i ona sama bezwiednie dostrajała się do harmonii przyrody. Gorycz i żal przemieniały się stopniowo na wyrozumiałość, rezygnacyę i spokój. Szli w milczeniu nad swawolnym, życiem kipiącym potokiem i zrazu obojętnie, a potem z rosnącem zajęciem wsłuchiwała się ona w dźwięczną muzykę rwącej wody, uderzającej swawolnie o skały nadbrzeżne i kamienie w łożysku, a gdy tej muzyce wody zawtórował szum lasu, rozjaśniła się jej twarz, spojrzała na przepojone blaskami góry i powiedziała uradowanym głosem:

— Jak tu pięknie! Z tych gór olbrzymich płynie ukojenie.

— Dla gór to obojętne, — uśmiechnął się, — czy płynie z nich ukojenie, czy śmierć pod lawiną, urwanym głazem, lub na dnie przepaści.

— A jakiego wrażenia pan doznaje?

— Spokoju i siły. To też, gdy jestem wzburzony, gdy mi zanadto dokuczą drobnostki i poswarki ludzkie, idę w góry i wracam spokojny i zrównoważony.

— Lekarstwo łatwe i dostępne, — uśmiechnęła się, — i może nawet skuteczne, ale przy drobnostkach; co innego, gdy przygniata ciężar całego życia.

— Naturalnie, to są dwie różne rzeczy, zależne jednak tylko od wyobraźni. Jeśli ja doznanemu niepowodzeniu, przykrości, nadam olbrzymie rozmiary, to ten ciężar tak mnie przygniecie, że padnę na ziemię i już nie widzę słońca, gór, życia, wiosny.

— Ja nie mówię o wyobraźni, ale o faktach prawdziwych.

— I ja tak samo, — uśmiechnął się; — pozwoli pani, że zacytuję przykład z mego życia.

— Słucham.

— Popełniam wprawdzie pewną niewłaściwość, ale liczę na dyskrecyę pani. Otóż przed niedawnym czasem, panna Euzebia, zna ją pani?

Pani Wanda skinęła głową, gdyż znaną była w zakładzie niemłoda i nieładna panna Euzebia, zapalona zwolenniczka równouprawnienia kobiet.

— Panna Euzebia, — mówił dalej z powagą, — nie wiem, skąd i dlaczego zaczęła mnie wyróżniać i mówić o swej dla mnie szczególnej przychylności. Zawsze spotykałem ją na mej drodze, a inne panie były przekonane, że kocham ją i jestem kochany. Pani Porecka nie szczędziła mi dokuczliwych przycinków, pani Mniewska uszczypliwych uwag, pani Łącka napomnień, aż znudzony, zerwałem z panną Euzebią i byłem w towarzyskiej przyjaźni z inną niewiastą. Zaczęły się nowe pociski, że jestem zmienny, że zmieniam sympatye, jak rękawiczki... i taki się czułem nieszczęśliwy, przygnębiony ciężarem całego życia... że w rozpaczy spojrzałem na Tatry, — przystanął i wskazując na ozłocone promieniami wirchy, mówił: — co wobec tej niepokalanej piękności znaczą zawiedzione sentymenta panny Euzebii, kwasy pań, dokuczliwości komarów ludzkich!... I ciężar życia znikł, a u pani?

Pani Wanda zaśmiała się wesoło i podając rękę, powiedziała:

— Dziękuję panu... jesteś pan doskonałym lekarzem.

— Jestem szczęśliwy uznaniem pani, — ucałował jej rękę, — ale o pannie Euzebii nikomu pani nie powie?

— A pan o swem lekarstwie.

Wrócili oboje rozweseleni, spokojni i tak rozbawieni, że gdy spóźnieni wchodzili oboje do sali jadalnej, nie zepsuły im humoru zgorszone miny i zjadliwe spojrzenia towarzystwa.

Przy stole pani Porecka wszczęła rozmowę o zaletach i wadach towarzyskich, sławiąc najwymowniej skromność, a gromiąc złośliwość i podejrzliwość.

— Dla mnie, — powiedziała Madzia, — najprzyjemniejszą jest ta osoba, która posiada szczerość, miarkowaną taktem towarzyskim.

— Tak, moje dziecko, — chwaliła matka, — te dwie zalety tworzą prawdziwą harmonię towarzyską... A pan, panie Jedliński, — spojrzała z łaskawym uśmiechem.

— Mojem zdaniem, pożądana i miła w towarzystwie jest każda osoba szczera, ale takich bardzo mało, — westchnął, — a najwięcej takich, które udają cnotliwość, miłość, przyjaźń, i to dla dogodzenia swej ambicyi.

— Euzebia, — szepnął pani Wandzie Borowiecki, co ją rozśmieszyło.

Ten śmiech zgorszył panie, a pani Łącka rzekła surowo:

— Cóżeś taka rozbawiona dzisiaj? Czy może otrzymałaś list, że mąż przyjedzie?

— Nie spodziewam się go w tych czasach, a tak mi dobrze po spacerze. Szkoda, Ryto, że nie byłaś z nami w Kuźnicach, prześliczny był zachód słońca.

— Widziałam go z balkonu, ale gdy ci tak było przyjemnie w Kuźnicach, wybierzesz się zapewne na wirchy i turnie.

— Bałabym się jednak, bo miewam zawroty głowy.

— To jeszcze szczęśliwie, że nie zawroty serca, — uśmiechnęła się ironicznie pani Porecka.

— Niestety, miewam też bicie serca, — odpowiedziała swobodnie.

Po kolacyi panie, bez żadnego porozumienia, tak się podzieliły na zamknięte kółka i kółeczka, że pani Wanda została sama z panem Borowieckim. Była jednak tak ożywiona i taka piękna, że wkrótce otoczyło ją grono mężczyzn i bawiono się wesoło i gwarnie.

Przy paniach został chmurny pan Jedliński, urażony, że pani Wanda nie zwróciła uwagi na jego złośliwość i przy pani Łotuskiej rozkochany pan Szarocki.

— Jakie to dzisiejsze kobiety, — skarżyła się pani Porecka, — nie dość, że źle robią, ale jeszcze tem się przechwalają, — tu spojrzała wymownie w stronę pani Jerzyckiej.

— To wyjątek właściwy Królestwu, — dodała pani Mniewska.

— Oto prawda, — westchnęła pani radczyni, — ta u nas, w Jarosławiu, takiej nie poświeci.



Spojrzała na przepojone blaskami góry.

— Skończy się to, skończy, — rzekła surowo pani Łącka, — niech tylko mąż przyjedzie.

— Przyjedzie! ? — zadrwiła pani Mniewska, — spyta jej o pozwolenie, a ona przyśle depeszę: „nie przyjeżdżaj!“.

— Jeśli ja mówię, że przyjedzie, — rzekła z godnością pani Łącka, — to napewno tu będzie. Ona jest moją kuzynką przez Jakickich i gdy jej przedstawię konieczność przyjazdu męża, ażeby ukrócił niewłaściwe zaloty, ona zgodzi się napewno.

— Byłoby to może najlepiej dla pani Jerzyckiej, — westchnęła pani Porecka, — gdyż ona zapewne z nudów flirtuje, a nudzenie się miewa czasem złe, bardzo złe następstwa.

— Jakie, mamusiu? — spytała z miną niewinną Madzia.

— Ty tego nie rozumiesz, moje dziecko, ale gwałtowna chęć przypodobania się sprowadza z drogi cnoty.

— Rozumiem, mamusiu, wtedy zaczyna się kłamać, staje się próżną i oszukuje się męża, — uśmiechnęła się zadowolona.

— Madziu! Co ty mówisz? — zaczerwieniła się pani Porecka, gdy inne panie uśmiechnęły się dyskretnie.

— Ależ, mamusiu, mówię to, co widzę, nie jestem już dzieckiem.

W tej chwili podeszła do siedzących pani Łotuska z nieodstępnym panem Szarockim i przystanąwszy, zaczęła z wielkiem ożywieniem:

— Czy wiecie panie nowinę? Przyjechała do Zakopanego wróżka, mówi rzeczy nadzwyczajne.

— Kiedy?... Gdzie?... Kto ona? — zawołały zaciekawione.

— Cuda opowiadają o niej, — mówiła pani Łotuska ucieszona wrażeniem, — odgaduje przeszłość nadzwyczajnie i czyta w przyszłości. Jutro wybieramy się do niej.

— Kto?

— My, — i lekko zarumieniona, poprawiła się: — to jest ja, a pan Henryk mi towarzyszy.

Panie zanotowały sobie w pamięci tę niefortunną omyłkę, a pani Łącka spytała:

— Gdzie ona?

— Zajechała do willi „Pod Opatrznością“, ale zabawi krótko.

— Ile bierze? — odezwała się pani Porecka.

— Dziesięć koron od osoby... trochę drogo, ale jest nadzwyczajna.

— To nie jest zbyt drogo, jeśli wróży prawdziwie, — zauważyła pani Mniewska, — ja pójdę, a pani? — zwróciła się do Poreckiej.

— I ja... dla Madzi.

— I ja... dla Ryty, — skinęła głową pani Łącka.

Wszystkie te panie, godzące się chętnie na niepotrzebny wydatek dziesięciu koron, należały do oszczędnych żon i matek i były niemi. Kobiety bowiem oszczędzają z zasady na swem jedzeniu, na wygodach podróży, na służbie, no i naturalnie na książkach, na teatrze, koncertach, o ile pokazanie się nie wchodzi w plany jakieś, ale chętnie ponoszą wydatki na tak nieodzowną rzecz, jak wróżba, lub na strój zewnętrzny a modny. I jest to w porządku z logiką ich natury, gdyż niewiasty są uduchowione, a mężczyźni pogrążeni w materyalizmie.

— A pan nie da sobie powróżyć? — spytała Madzia.

— Nie! Zmiany żadnej nie chcę i nie pragnę, a przyszłość moja nie zależy od tej wieszczki, — odpowiedział Szarocki, spoglądając na panią Łotuską.

— I co ona za jedna? Skąd przyjechała? — dopytywała się pani Porecka.

— Francuzka, Madeleine Vivienne.

— To bardzo dobrze, — cieszyła się Madzia, — nie będzie mogła informować się u służby.

— Pan Szarocki szepnął wprawdzie nieznacznie słówko:

— Chodźmy! — ale pąnie może i nie dosłyszały, jednak domyśliły się i spojrzały znacząco na siebie.

— Ja pójdę rano, — rzekła pani Łotuska uprzejmie, — i zdam paniom relacyę z wróżby... Dobranoc! — poszła w stronę hali, ładna, zgrabna, a tuż przy jej boku rozpromieniony Szarocki.

— Ta nie traci czasu, — rzekła z przekąsem pani Łącka.

— Ja się jej nie dziwię, ma męża tak starego, — odezwała się pani Mniewska.

— Ta jaki on? — powiedziała pani radczyni, — i że pozwala na wszystko.

— Czy pozwala, bardzo wątpię, — zaśmiała się pani Mniewska, — podobno bardzo zazdrosny, a sam wysoki, kościsty, chudy i ciągle mu coś dolega, posiada jednak tę zaletę, że dość bogaty.

— Ta kiedy on taki, niechby romansowała, ale nie tak przed publiką, — uśmiechnęła się radczyni.

— Uwaga pani bardzo słuszna, — rzekła z godnością pani Porecka, — żonie takiego męża można dużo wybaczyć, ale powinna takt zachować.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Bunt gwardyi watykańskiej.

W chwili, gdy świat cały zajmuje się zatargiem bałkańskim, który przybrał zwrot wcale niespodziewany, pojawiła się na szpaltach pism codziennych wiadomość o buncie w łonie papieskiej gwardyi szwajcarskiej.

może każdej chwili, dwa miesiące przedtem powinien jednak zawiadomić o tem swą komendę.

Obowiązkiem gwardyi jest strzeżenie osoby Ojca św. w Watykanie i występowanie przy wszystkich uroczystościach, w których Papież bierze udział i to tak wewnątrz, jak i zewnątrz pałaców watykańskich.

Regulamin służbowy, jak utrzymują pisma wło-



Bunt gwardyi watykańskiej: Oddział gwardyi szwajcarskiej w marszu.



Bunt gwardyi watykańskiej: Pułkownik gwardyi szwajcarskiej, Repond, przyczyna ostatniego przesilenia.

Guardia svizzera, składająca się obecnie z stu siedmnastu ludzi wraz z oficerami, wprowadzoną została w Watykanie w r. 1505 przez papieża Juliusza II-go, który za radą kardynała Schinnera, Szwajcara rodem, zawarł układ z kantonami Zurichu i Lucerny o dostarczenie 250 ludzi do gwardyi papieskiej.

Według warunków przyjęcia każdy gwardzista musi odbyć poprzednio służbę wojskową w swym kraju i mieć 174 cm. wzrostu. Wystąpić z oddziału

skie, nie wspomina wcale o obowiązkowych ćwiczeniach wojskowych, przeznacza jedynie dziesięć dni w miesiącu na służbę w Watykanie, pozostałe dwadzieścia pozwala spędzić każdemu według własnego uznania.

Tymczasem obecny komendant, pułkownik Repond, chcąc zreformować gwardyę, wprowadził różne nowe zarządzenia, które stały się przyczyną niezadowolenia, a ostatecznie doprowadziły do konfliktu między żołnierzami a oficerami.

Rozchodziło się głównie o obowiązkową musztrę, do której pułkownik zmuszał podkomendnych,



Echa katastrofy żywiołowej: Kilkuset robotników oczyszcza zasypany podczas powodzi tor kolejowy pomiędzy Chyrowem a Starzawą. (Fot. M. Todt, Przemyśl).

choć gwardya ma znaczenie wyłącznie dekoracyjne, a z broni nigdy użytku nie robi.

Żołnierze niechętnie znosili dyscyplinę wojskową, zwłaszcza, że komendant surowo karał wszelkie wykroczenia przeciw subordynacyi. Wrzało ciągle pomiędzy nimi, aż nareszcie doszło do wybuchu.

Gdy pułkownik Repond po dłuższym urlopie wszedł w ubiegłym tygodniu do swej kancelaryi, wtargnęli tam za nim gwardziści, obrzucili go obelgami i cofnęli się dopiero przed skierowaną przeciw nim bronią.

Wysłano deputacyę do kardynała sekretarza stanu, a następstwem tego było zwołanie całej gwardyi szwajcarskiej na podwórze kaplicowe.

Tam odczytano rozkaz dzienny komendanta, zawierający pismo kardynała Merry del Valla. Zaznacza w niem kardynał, że Papież ubolewa bardzo z powodu ostatnich zajść, tembardziej, że żołnierze, jeśli mieli jaki powód do skarg, powinni byli zwrócić się w drodze służbowej do swej władzy przełożonej, lub ustąpić z miejsca zajmowanego.

Zachowanie się gwardzistów w dniu 17-go lipca było niesubordynacyą zasługującą na potępienie. Z tego powodu ci żołnierze, którzy nie chcą się poddać zarządzeniom pułkownika, z rozkazu Papieża mają opuścić korpus, gdyż w przeciwnym razie musiałby być rozwiązanym.

Po wysłuchaniu tego rozkazu gwardziści udali się w porządku na swe stanowiska, trzech z nich oddalono, czterej dobrowolnie opuścili służbę.

W ten sposób zażegnane zostało to nieprzyjemne przesilenie, dzienniki rzymskie są jednak zdania, że komendant Repond prawdopodobnie poda się obecnie do dymisyi.



Niepowodzenia dyplomacyi europejskiej: Ambasadorowie mocarstw w Londynie, bezskutecznie obradujący nad zażegnaniem zawieruchy bałkańskiej. Od lewej strony ku prawej stoją: Inouaye (Japonia), ks. Mensdorf (Austro-Węgry), markiz Imperiali (Włochy), ks. Benckendorf (Rosya), Tewfik pasza (Turcya) i minister serbski.

Niepowodzenia dyplomacyi europejskiej.

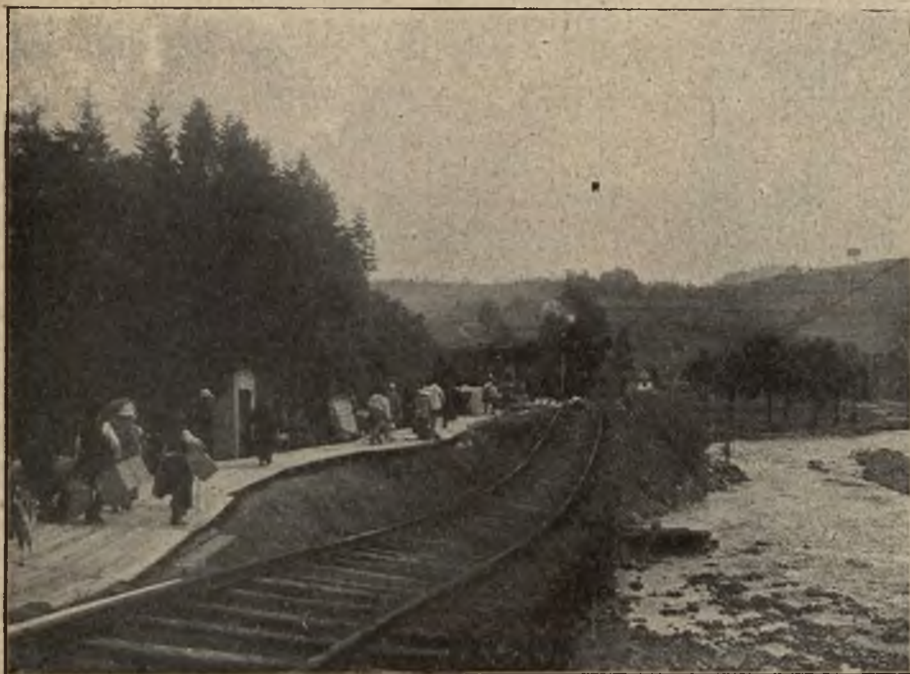
Bałkan nie darmo nazywają wulkanem Europy. Skupiają się tam interesa wszystkich prawie mocarstw, które, rzecz prosta, przy ogniu bałkańskim radeby upiec i własną pieczeń. Rywalizacya poszczególnych państw jest jednak pewnego rodzaju hamulcem dla zbyt daleko idących zamiarów. Niemniej „koncert europejski“ rościł sobie zawsze prawo do „opieki“ nad bałkańskiemi państwami i ludami. To też, gdy zagrzmiały pierwsze strzały na Bałkanie, dyplomacya europejska obwieściła z całą stanowczością, że „bez względu na wynik wojny“ nie dopuści do żadnych zmian terytoryalnych. Państwa związkowe nie wiele jednak sobie robiły z tych dyplomatycznych oświadczeń i nie pytając się o „pozwolenie Europy“, rozgromiły Turcyę. I Europa bardzo prędko pogodziła się z tym faktem. Konferencye dyplomatyczne w Londynie zajęły się bardzo gorliwie likwidacyą panowania tureckiego w Europie i doprowadziły do zawarcia pokoju, który Turcyę wymazywał prawie zupełnie z karty Europy.

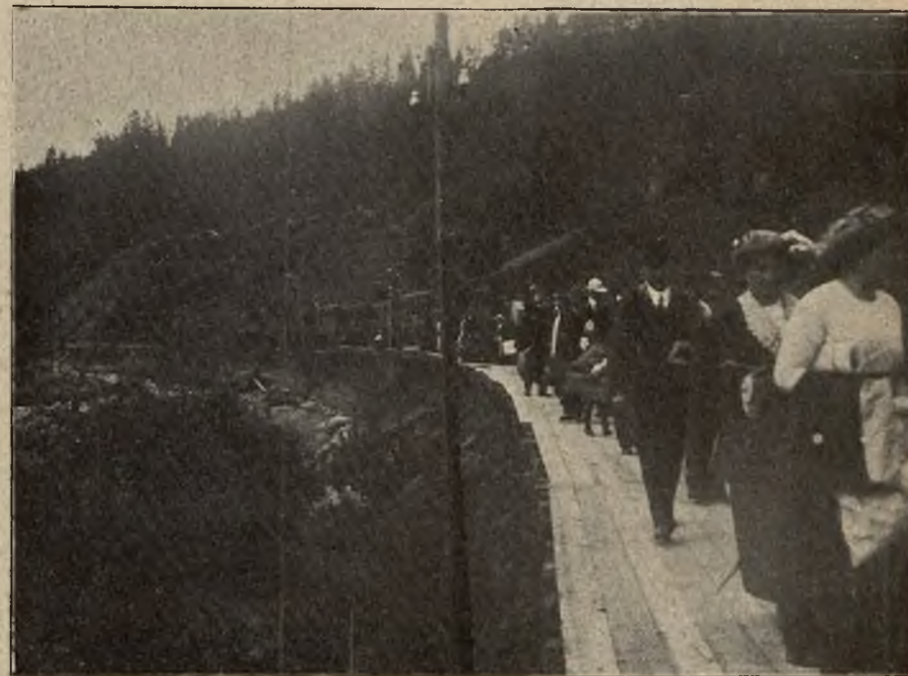
Ale Bałkan zgotował dyplomacyi nową niespodziankę. Sprzymierzeńcy pokłócili się przy podziale łupu, a wynikiem tej kłótni jest pogrom Bułgaryi i odwet Turcyi, która zajęła już z takim trudem zdobyty przez państwa związkowe Adryanpol. Dyplomacya europejska znowu została zaskoczoną i znowu radzi w Londynie — jak utrzymać ten nowy *status quo*, t. j. zmusić Turcyę do cofnięcia się z odzyskanych w drugiej wojnie bałkańskiej terytoryów. Turcya jednakże poszła za przykładem swych przeciwników i tak samo, jak państwa związkowe, nie



Echa katastrofy żywiołowej: Budka dróżnika pomiędzy stacyami Chyrowem a Starzawą, w czasie powodzi zagrzebana do połowy namułem.

wiele sobie robi z przestróg dyplomacyi europejskiej, która przed kilku miesiącami groziła państwom związkowym, że nie pozwoli na zajęcie piędzi ziemi państwa tureckiego, a dziś, dla odmiany,





Podmyty tor kolejowy pomiędzy Chabówką a Zakopanem. **Echa katastrofy żywiołowej:** Przesiadanie się pasażerów na miejscu katastrofy.

grozi Turcyi, że nie pozwoli jej odebrać Adryanopolą i innych, zdobytych przez Bułgaryę, terytoryów.

Słowem, zmienną jest nie tylko kobieta, ale i dyplomacya, która ma i to podobieństwo do niewiast, że lubi dużo gadać. Obraduje też bez przerwy konferencya ambasadorów w Londynie, której uczestników przedstawia nasza illustracya.

Echa katastrofy żywiołowej.

Do ciężkiego przesilenia ekonomicznego, które zachwiało równowagę budżetową i gospodarczą całej Galicyi przyłącza się obecnie nowa klęska, która podcięła istnienie tysięcy gospodarstw wiejskich w Galicyi, mianowicie powódź. Roszalały żywioł zniszczył plony i dobytek wiejski na przestrzeni kilku tysięcy kilometrów, powyrywał drzewa, poznosił mosty, porozwalał chałupy. Ogólną szkodę oceniają na przeszło trzydzieści milionów koron.

Klęska ta stała się wprost groźną chmurą życia społecznego, a nawet politycznego w Galicyi. Rok poprzedni był bardzo lichy, tegoroczne zbiory zapowiadały się znacznie korzystniej i zdawało się, że rok bieżący powetuje straty roku przeszłego. Stało się inaczej. W wielu okolicach zbiory zupełnie przepadły, a ludność stoi wobec nędzy i głodu. Rząd rozumie, że w takich warunkach o unormowaniu życia politycznego w Galicyi mowy być nie może, to też z całą gotowością przygotowuje akcyę ratunkową dla dotkniętych klęską okolic.

Dzisiaj dopiero powoli można sobie zestawić obraz spustoszeń, jakie powódź w Galicyi zrządziła. W okolicach Dobromila koło Pietnicy woda zalała tor kolejowy na wysokość metra i uniosła część nasypu, a koło Starzawy zwaliła się na tor góra cała.

Naoczny świadek tak opisuje wrażenie z tej katastrofy:

„Jesteśmy koło Pietnicy, widzę jak fale zalewają chaty, nagle jedna chałupa podnosi się, płynie ku mostowi, opiera się na chwilę, a w kilka sekund znika. Słychać jakieś krzyki, na wodzie ukazują się pierzyny i znów wszystko znika.

Nagle pociąg zakołysał się, maszyna stanęła. Budzi się we mnie świadomość położenia, wyskakuję z pociągu i brnę po kolana w wodzie do maszynisty. Widzę niebezpieczeństwo, fale biją w pociąg. Widocznie opatrzność czuwała nad nami, bo trzy kroki od maszyny była już przepaść i szyny wisiały w powietrzu, widać je jak dwie wstążki, a pod



Uczczenie pamięci zamordowanego namiestnika: Uroczystość odsłonięcia pomnika ś. p. Andrzeja hr. Potockiego w Sierszy.



Echa katastrofy żywiołowej: Mały strumyk w pobliżu Chyrowa, którego wylew zniszczył tor kolejowy.

nimi wali fala. Wtem widzę jak od Posady chyrowskiej sunie ku nam drugim torem pociąg. Rozpaczliwie macham peleryną, pociąg stanął; odetchnąłem bo wiele żywotów ludzkich od śmierci wyratowanych".



Zniszczony przez pożar kościół w Kazuniu pod Warszawą.

Spalona świątynia:



Plebania we wsi Kazuń pod Warszawą.

„Ruszamy dalej ku Starzawie. Tu fala szła torem, wyrywała drzewa i toczyła złomy skalne. Pomału dojeżdżamy do jakiegoś zwaliska. Pociąg staje, wysiadamy. Na torze cała góra z drzewami wyrwanemi i olbrzymiemi skałami i namułem! Obok budka kolejowa nr. 31. Kilkuset robotników gorączkowo pracuje nad usunięciem tej skalnej lawiny. Wszystko skłębione: drzewa, kamienie, namuł. Z leśnego wzgórza z hukiem spływa rwący strumyk. Co za siła tego żywiołu"!

Również wielkie szkody porobiła woda w torze, prowadzącym do Zakopanego z Chabówki. Fale podmyły tor na przestrzeni 42 m. tak, że pociągi musiały dojeżdżać z obu stron, zaś podróżni przesiadali się, przechodząc po długim pomoście drewnianym.

Pod Oświęcimem wylała Wisła i Soła, zatapiając kilka wsi i przedmieścia.

Illustracye nasze przedstawiają szereg widoków z powodzi w różnych okolicach Galicyi i spustoszeń, jakie ta klęska spowodowała.

Uczczenie pamięci zamordowanego namiestnika.

Kilka lat minęło już od chwili, kiedy we Lwowie z rąk Siczyńskiego zginął ś. p. hr. Andrzej Potocki. Zarówno kraj, jak i poszczególne miasta i gminy czczą pamięć jego, a wyrazem tego są pomniki, na cześć zmarłego stawiane. Przed kilku dniami uroczystość odsłonięcia takiego pomnika obchodziła Siersza, miejscowość górnicza pod Krakowem, należąca do majątku hr. Potockich. Powstał on ze składek górników, przy wydatnej pomocy zakładów i kopalni sierszeckich.

Już od wczesnego ranka na odgłos strzałów moździerzowych, zapowiadających uroczystość, zaczęły się gromadzić tłumy ludności górniczej i rolnej na placu koło pomnika i przed szkołą w Sierszy. Przybyli liczni reprezentaci gmin miejskich i wiejskich z odznakami swego urzędu, oraz przedstawiciele władz z Krakowa i Chrzanowa, jako też licznych zakładów fabrycznych w powiecie.

O godzinie wpół do dziesiątej ruszył pochód, uformowany przez mistrza ceremonii, inż. Cieślińskiego, do kościoła w Krystynowie.

Na czele posuwali się konni krakusi, dalej orkiestra straży poż. z Trzebini, kom. budowy pomnika, liczne oddziały Sokołów z Chrzanowa, Krzeszowic, Trzebini i z Sierszy, strzelcy z Sierszy, oddziały straży ochotniczych, członkowie czytelni T. S. L. z Sierszy, reprezentacya Rady powiatowej chrzanowskiej z marszałkiem hr. Edw. Mycielskim na czele, poseł do Rady państwa Dr. Ignacy Wróbel, deputacye miast Chrzanowa i Trzebini z burmistrzami pp. Grzelewskim, Rudolphim i Rosenbaumem, reprezentanci kopalń i zakładów przemysłowych, delegacye włościańskie gmin powiatu chrzanowskiego, przedstawiciele górników i straży leśnej, dzieci szkolne w barwnych strojach i krakuskach, pod kierownictwem dyrektora Niecia z Ciężkowic i liczne zastępy publiczności.

Barwny ten orszak przybył o godzinie 10-tej do kościoła w Krystynowie.

Po odprawionych modłach ruszył pochód do parku w Sierszy, gdzie wznosił się pomnik, otoczony zielenią i flagami o barwach narodowych.

Pierwszy przemówił w imieniu komitetu dyrektor Antoni Schimitzek, poczem odsłonięto pomnik.

Jest to obelisk z porfiru miękińskiego na odpowiedniej podstawie z betonu, zakończony spiżowym orłem. Na obelisku widnieje medalion z popiersiem Andrzeja Potockiego. Medalion jest dziełem artysty rzeźbiarza Jana Nowaka, ucznia profesora Laszczki. Całość przedstawia się bardzo estetycznie.



Uczczenie pamięci zamordowanego namiestnika: Pomnik ś. p. Andrzeja hr. Potockiego w Sierszy.

F. T.

Serce matki

Tłóm. z niemieckiego.

4

— Beznadziejny, zupełnie beznadziejny — powtórzyła Irena, patrząc przed siebie. — Czy pan nie sądzi, doktorze, że matki potrafią kochać i takie dzieci? — zapytała po chwili, podnosząc głos.

— Jest to ostatecznie rzecz stwierdzona i dlatego dziwić mnie nie może — odpowiedział. — Zwykle nawet kochają te nieszczęśliwe istoty silniej aniżeli zupełnie zdrowe. Czasem nawet przywiązują się do nich z zapalczywą jakąś namiętnością, właśnie może dlatego, że inni ludzie na ich widok mają tylko życzenie, aby je Pan Bóg jak najprędzej zabrał. Sam znałem...

Wejście jednego z Anglików przerwało rozmowę. Dr. Burger zagłębił się w książce, Irena zaś odeszła do swej kajuty, tłomacząc się silnym bolem głowy. Na drugi dzień na pokładzie, spotkawszy Roberta, rozmawiała z nim dłuższy czas, nie wspominając ani słowem o wczorajszej ich rozmowie. Także lekarz uważał za właściwe nie pytać, czy już wybiła sobie całą rzecz z głowy. Przypuszczał, że była to fantazya chwilowa, nic więcej. Pod wieczór już zbliżono się do Liverpoolu. Lekarz był bardzo ciekawy, czy panna Firnau znowu okaże silne zdenerwowanie, jak to dotychczas bywało. W rzeczy samej, nie tylko Irena była bardzo zdenerwowana, ale stan jej zdawał się o wiele jeszcze gorszy, niż przy poprzednich wypadkach.

Także doktor nie mógł opanować pewnego żalu i niepokoju. Silny wewnętrzny impuls popychał go ku tej pięknej nieznajomej, sam nie wiedział, dlaczego? A tajemnica, jaka ją otaczała, podnosiła tylko urok jej postaci, mimo, iż otaczała jej osobę jakimś blaskiem romantyczności, przeciwko któremu powinna się była jego na wskróś prawa, szczera, tak po obywatelsku solidna natura oburzyć. Lecz tam, gdzie jest sympatya, tam jest i wytłomaczenie. Wierzył mocno w to, iż Irena Firnau nie popełniła nic takiego, coby ubliżało jej charakterowi.

Ukrywała jednak jakąś tajemnicę, jakiego rodzaju, nigdy nie miał się o tem dowiedzieć! Musieli się rozłączyć, aby się już nigdy prawdopodobnie nie zobaczyć. Dla niej rozłąka ta nie miała żadnego znaczenia. On był dla niej tylko miłym towarzyszem podróży, więcej nic!

Serce jego rozpierał dziwny smutek. W cichej zadumie starał się w myśli utrwalić piękny obraz nieznajomej.

Zapytał sam siebie, skąd się to wzięło. On, zawsze poważny, daleki od młodzieńczych głupstw, jak sam się wyrażał, marzył. Nagle uczuł, że ktoś lekko dotyka się jego ręki. Obejrzał się szybko, przed nim stała ta, o której właśnie myślał. Zarumieniona szepnęła z prośbą w spojrzeniu:

— Czy mogę prosić pana o krótką chwilę rozmowy w cztery oczy?

— Ma się rozumieć — wyrwało mu się mimo woli. — Nie tylko na chwilę!...

Zamilkł, łapiąc się na komplemencie, który już miał na języku.

— Dokąd mam się udać? — poprawił się.

— Chodźmy do czytelni. Wszyscy są teraz zajęci pakowaniem. Czy pan już spakował swoje rzeczy?

— W zupełności. Pani zapewne także, panno Firnau? Za pół godziny staniemy u celu.

— Jestem już przygotowana, panie doktorze.

Pospieszył za nią do czytelni, gdzie ku swemu wielkiemu zdziwieniu zastał panią Haynau z chłopcem.

— Niech pani zostawi tu dziecko. Proszę iść na pokład i uważać pilnie, proszę panią bardzo — rozkazała młoda kobieta, poczem pani Haynau posadziła dziecko na kanapce, a sama wyszła z pokoju.

— A teraz — zwróciła się Irena do lekarza — bez długich wstępów, panie doktorze. Pani Haynau powierzyła mi pewien sekret, o którym i pan ma się dowiedzieć. Chciałabym chętnie pomódz biednej kobiecie, a pan ma w tem uczestniczyć, inaczej sama nie dam sobie rady.

Mówiąc jeszcze jaśniej, mam prośbę do pana. Czy pan ją spełni?

— Zadośćuczynienie prośbie pani będzie dla mnie zaszczytem, to znaczy, o ile to leży w mojej mocy.

— Owszem, jest w pana mocy. Słuchaj pan — Irena mówiła po cichu i szybko, proszącym głosem, który go wzruszył i mimowoli ujmował — biedna kobieta kocha to nieszczęśliwe dziecko z całego serca! Chcą go jej odebrać, aby je oddać do publicznego zakładu, ponieważ ona wyjeżdża za granicę. Ona pragnie je zatrzymać, a obawia się, że przy wysiadaniu na ląd odbiorą jej dziecko. Prosiła mnie więc, abym zatrzymała chłopca przy sobie w chwili lądowania i wysiadła razem z nim na ląd. Pomysł jest dobry, ale jeszcze pewniej by się udał, gdyby mężczyzna nim się zaopiekował. U mężczyzny nie będą szukali dziecka, a tem bardziej u takiego, jak pan, panie doktorze.

— A więc ja mam być tym, który dziecko...

— Szczęśliwie przeprowadzi do Liverpoolu. Pani Haynau spotka się z panem w umówionym hotelu. Czy zechce pan tej biednej kobiecie wyświadczyć tę przysługę? Zarazem postąpi pan humanitarnie, gdyż ona lepiej zaopiekuje się dzieckiem, niż zakład państwowy, gdzie opieka ta jest raczej urzędową.

Doktor Burger zawahał się.

— Panno Firnau, sprawa sprzeciwia się ustawie, a pani jej odemnie żąda!

— Moralne prawo nie zawsze zgadza się z ustawą pisaną, często nawet stoi ponad nią, gdyż ustawa jest wyrazicielem władzy, zaś prawo jest dążeniem do dobrego.

— To prawda — ale...

— Kto przyzwyczaił się tak, jak pan, patrzeć śmierci w oczy, ten przecież nie przestraszy się jakiejś małej kary.

Lekarz uśmiechnął się.

— Niech mnie pani źle nie rozumie. Właśnie dlatego, że podzielam pani zapatrywanie na prawo i ustawę, nie chciałbym popełnić bezprawia. Nie wiem, coby tu było lepszem. Nie znam zupełnie sprawy...

— Czy nie wystarcza panu moje zapewnienie.

— Pani mogła być w błąd wprowadzona.

— Daję panu słowo honoru — przerwała i podniosła rękę do góry, jakby do przysięgi. — Zresztą co pan ryzykuje? Pan nic nie wie. Wysiądzie pan z dzieckiem na ląd i wsiądzie tam do tramwaju. Można założyć się dziesięć przeciw jednemu, że nikomu nie przyjdzie na myśl zapytać się pana o dziecko lub pana zatrzymać. Czy nie tak?

— A więc dobrze — postanowił. — Proszę dać mi adres hotelu.

Irena szybko zaczęła notować adres na bilecie wizytowym, gdy do pokoju wpadła blada i wystraszona opiekunka dziecka.

— Łaskawa pa... panienko — zawołała. Już idą.

— Kto idzie, Almo?

— Dwóch panów w uniformach — policya — płyną łodzią do statku.

— Za późno — wyszeptała zrozpaczona Irena i załamała ręce. — Wszystko stracone, wszystko stracone!

Lekarz przyglądał się wzruszony całej scenie.

— Na Boga, panno Firnau, co to wszystko znaczy? Czem jest dla pani to dziecko — zapytał wreszcie.

Spojrzała na niego oczyma pełnemi łez, a bezbrzeżny smutek drgał w jej głosie.

— Czem ono dla mnie jest? — zawołała, tracąc panowanie nad sobą pod wpływem bólu i troski, zaledwie mogąc o tyle opanować drżenie głosu, aby wydobyć wyrazy. — To moje dziecko, panie doktorze — chcą mi je porwać, zrabować. Teraz wie pan całą straszną prawdę!

ROZDZIAŁ VI.

Robert odskoczył jak gdyby go kto pięścią między oczy uderzył. Serce jego wierzące, nic nie przeczuwające doznało nagłego olśnienia.

— Pani dziecko...

— Niech mnie pan źle nie rozumie — szepnęła cicho, przez łzy. — Jestem zamężna. Nazywam się Marga Wolfern, ta stara kobieta jest wierną moją służącą od lat dziecinnych, a prawdziwe jej nazwisko brzmi Alma Röhn.

— A więc i chłopak nie nazywa się...

— Walter Fredeking? Ach! musieliśmy ze względu na bezpieczeństwo zmienić imiona. Imię jego jest Rudolf.

Słowa wydobywała z trudem, jakby ból i wstyd zatrzymywały jej je w gardle. Każde musiało się po prostu samo wyrywać jakby z więzów. Pełen głębokiego współczucia patrzył na nią Burger. Mimo silnego wzburzenia odczuł jednak jakby zadowolenie. Tajemnica, jaka ją otaczała, rozwiała się zupełnie, znał ją teraz dokładnie! On przecież przeczuwał!

— I kto... kto ośmiela się odebrać pani dziecko? — zapytał.

— Kto? Któżby inny, jak nie zastępca mego męża?

— Pani męża?

— Mój mąż umarł już przed rokiem — odpowiedziała bezdźwięcznym głosem.

— Ale dziecko... przecież ono należy się pani według prawa...

Lekkie poruszenie głowy zaprzeczyło, zaprzeczyło też stroskane spojrzenie. Usta zaś dodały cicho:

— Dziecko przyznano opiekunowi.

— Niech pan jednak źle o mnie nie myśli, — dodała w tej chwili silniejszym głosem. — Nie zawsze winnym jest ten, kogo prawo winnym uzna. Niema teraz czasu na to, abym pana wtajemniczała w całą sprawę. — Niech mi pan zaufa i dopomoże biednej matce!

Słowa bywają często podstępnymi, udanymi i fałszywymi towarzyszami, — tutaj jednak przemawiała szczera prawda. Wszelkie wątpliwości znikły wobec czystości jej spojrzenia, wobec przekonywującej szczerości jej głosu!

— Wierzę pani w zupełności — zawołał zdecydowany, — chcę pani pomódz z całych sił moich. Jak mam to jednak zrobić?

— Jak, jak? Nie możemy nic innego uczynić, jak zaprzeczyć tożsamości dziecka...

— Ostatecznie, jeszcze nie wiemy, czy wizyta policyi dotyczy tej sprawy!

— To nie ulega wątpliwości, panie doktorze. Lepiej będzie, jeśli nas razem nie zobaczą, Almo. Odejdź z dzieckiem do twojej kajuty. Ja pójdę na pokład, aby zobaczyć, co się dzieje. Upieraj się tylko odważnie przy swoich prawach; aby nie wzbudzać podejrzeń, nie mogę się w to mieszać. Czy zechce mi pan towarzyszyć, panie doktorze? Nerwy zupełnie wypowiedziały mi posłuszeństwo, — zaledwie mogę nad nimi panować.

Zgodził się chętnie i oboje udali się na górę. „Królowa Ludwika" była już w porcie, a majtkowie kończyli ostatnie przygotowania do wylądowania. Doktor rozejrzał się za zapowiedzianą łodzią. Przybiła ona już do boku okrętu, a obaj policyanci rozmawiali z kapitanem.

— Ładna historya — usłyszał Robert głos swego przyjaciela, — jeśli prawda to, co panowie mówicie, proszę, wykonajcie swój obowiązek. Wobec mnie ta stara kobieta przedstawiła się jako pani Haynau, a dziecko miało być oddane jej na wychowanie. Zawołaj ją na górę, Jansen — rozkazał majtkowi.

Drżąc na całem ciele, stanęła Marga Wolfern z dr. Burgerem obok rozmawiających. Udawała, że zajmuje ją ruch w przystani i odwróciła się do policyantów plecami. W rzeczywistości jednak natężała słuch, a cała jej postać odbijała wyraźnie męki, przez jakie przechodziła.

Ręką przycisnęła silnie kołatające się gwałtownie serce.

Po chwili ukazała się pani Haynau, niosąc dziecko na ręce. Grała swą rolę doskonale, udała zdziwioną i zapytała, czego chcą od niej.

Jeden z policyantów, który trochę mówił po niemiecku, przystąpił do niej.

— Pani jest mis Röhn!

Kobieta podniosła jasne swe oczy z wyrazem ogromnego zdziwienia na urzędnika.

— Kto?

— Mis Alma Röhn — czytał urzędnik z jakiegoś aktu.

— Proszę pana, to musi być pomyłka. Ja nazywam się Haynau, a mój mąż jest sternikiem.

— Już dobrze, — przerwał jej urzędnik. — Czy pani może się wylegitymować? Proszę pokazać mi swoje papiery.

— Papiery? — Ba! ja nie mam żadnych. Na cóż mi potrzebne papiery? Te ma mój mąż, który jest sternikiem i mieszka...

— Czy jest tutaj ktoś, ktoby panią znał i mógł stwierdzić pani tożsamość?

Pani Haynau rozejrzała się bezradnie dookoła. Wszyscy prawie pasażerowie „Królowej Ludwiki" zgromadzili się, przysłuchując się całej scenie.

— Kto mnie zna? Wszyscy ci panowie i panie dookoła wiedzą, jak się nazywam.

— Ja pragnę wiedzieć, czy ktoś z państwa znał panią już dawniej? Czy też dopiero poznano się z panią w czasie podróży?

Badana kobieta nie wiedziała już, co dalej mówić. Bała się powołać na świadków doktora i swoją panią; doktor nie byłby pewnie zgodził się na powiedzenie otwarcie kłamstwa, swą panią właśnie przez to mogła była zdradzić. Wybrała więc jedyną drogę, jaka jej pozostała, mianowicie zaczęła narzekać, że ją, uczciwą osobę, w ten sposób się napada i zapytała wreszcie z udanym gniewem, dlaczego bada się ją, jak zbrodniarkę.

— Pani wie, dlaczego. — oświadczył, śmiejąc się, policyant. — Do kogo należy to dziecko?

— To jest mały Walter Fredeking, którego mam na wychowaniu.

— Bardzo dobrze, — Walter Fredeking, — właśnie o niego nam chodzi. Mamy rozkaz wziąć chłopca pod naszą opiekę. Jest on synem barona Wolfern. Pani uda się z nami, gdyż na policyi sprawdzimy potrzebne nam wiadomości.

— Chcecie mi odebrać mego wychowanka? Nigdy, tego wam nie wolno! Kto daje wam to prawo? Ja nie jestem tą, której szukacie. Jesteście na fałszywym tropie.

— Proszę więc udać się z nami do urzędu policyjnego, tam się wszystko wyjaśni.

— Na to nie mam czasu, ani ochoty. Muszę zaraz wyszukać mojego męża, — ja...

— Głupia kobieto, — szepnął jej kapitan. — Niech pani się nie opiera, to nic pani nie pomoże. Trzeba pogodzić się z koniecznością. Jeśli panią spotyka krzywda, to wnet się sprawa wyjaśni.

Stara kobieta rzuciła ukradkiem ku swej pani spojrzenie, wołające o pomoc. Ta, cała drżąca, napróżno spodziewała się, że jej dzielna służąca ujdzie ramienia prawa. Wreszcie ścisnęła silnie ramię doktora i szepnęła wzburzona:

— Nie mogę już dłużej biernie się zachowywać, panie doktorze, muszę jej pomódz.

Zdecydowana na wszystko weszła w małe kółko.

— Przepraszam panów — zwróciła się do urzędnika — przypadkowo znam tę starą kobietę jeszcze z Berlina. Ona na prawdę jest tą, za którą się podaje. Dziecko oddano jej na wychowanie. Prawdopodobnie zaszła tutaj pomyłka.

Prawdziwie nadludzką siłą opanowała się Marga. Lekkie drżenie jej głosu nie mogło zwracać specyalnej uwagi, ze względu na okoliczności obecnej chwili.

Policyant spojrzał zdziwiony i z pewnym zachwytem na mówiącą.

— Pani zna tę kobietę? Kto pani jest, mylady?

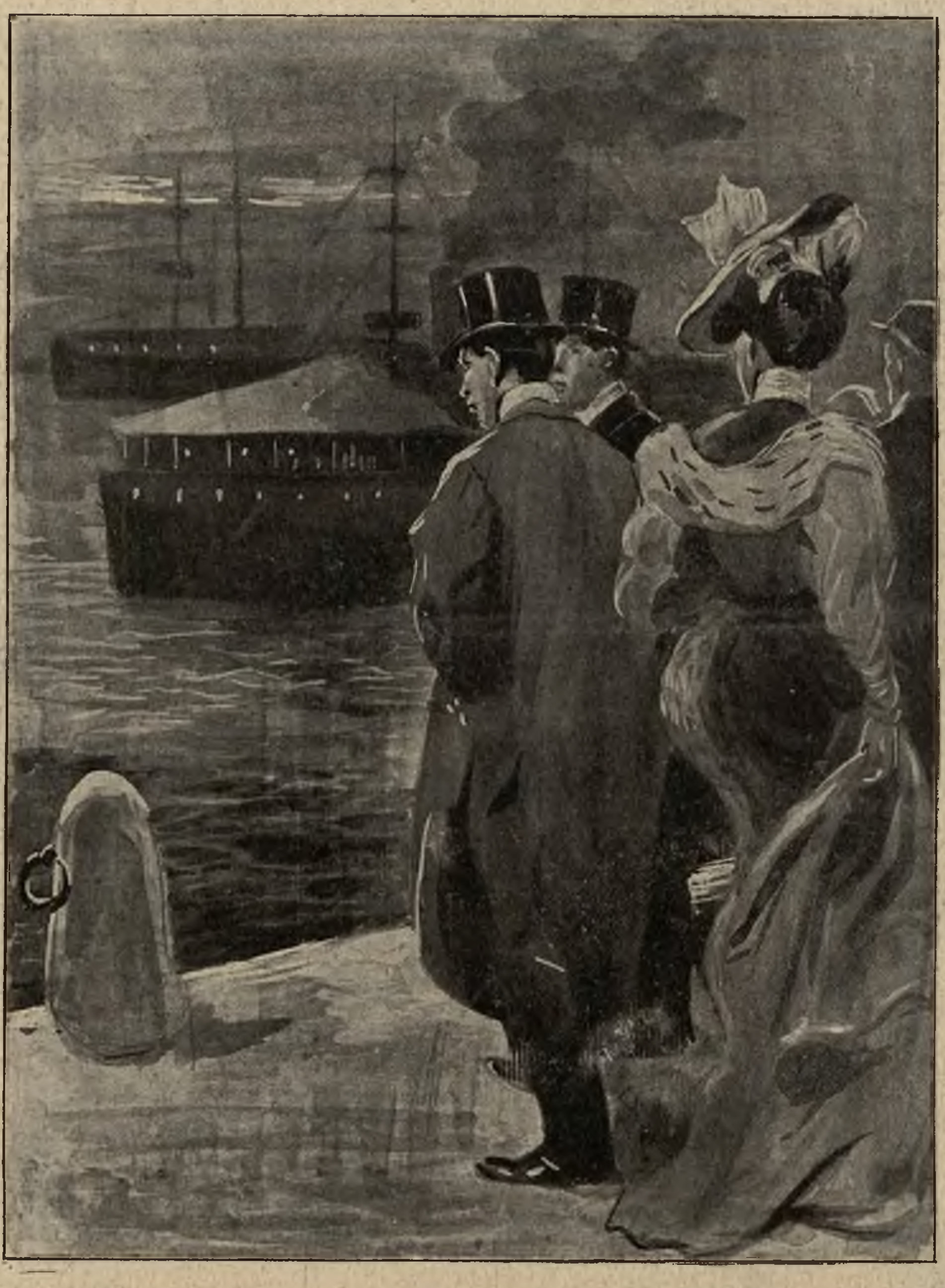
— Ja jestem...

Koniec jej odpowiedzi został nagle przerwany niespodziewanym wypadkiem. Mały rentier Gelbke, który dotychczas jako bierny słuchacz przypatrywał się, stojąc wśród pasażerów, całemu zajściu, nagle odsunął kilka osób, przed nim stojących i dwoma krokami znalazł się przed policyantami.

— To jest żona zmarłego barona Wolfern.

Słowa te rzucił, jak nagłe uderzenie piorunu, w małe kółeczko, które zdumiało się.

Wszystkie oczy zwróciły się na młodą kobietę. Marga zbladła śmiertelnie, ale stała dumnie i odważnie w pośrodku. Robiła wrażenie śmiertelnie kulą rannego człowieka, który jednak tłumi w sobie ból i przerażenie, aby znaleźć siłę na zatajenie swej śmiertelnej rany.



Niecierpliwie patrzył na zbliżający się okręt.

Silną wolą wytrzymała badawcze spojrzenie urzędnika.

— Czy pani przyznaje się do tego nazwiska? — zapytał tenże.

Odpowiedziała dowcipnym wybiegiem:

— Kto to utrzymuje, nie zna mnie wcale. Spotkałam go dopiero tu na okręcie.

Gelbke roześmiał się ironicznie. Cały jego wygląd zmienił się nagle. Pochylona głowa podniosła się, uprzejme oczy błyszczały tryumfująco. Zerwał także siwą brodę, którą z całym spokojem rzucił obecnie do morza. Stary pan zamienił się nagle w młodego człowieka.

— Ma się rozumieć, że ją znam — podkreślił dobitnie. — Jestem tajnym detektywem Lüdik z Berlina i miałem rozkaz brata zmarłego barona Wolfern, aby śledzić za porwanem dzieckiem. Mam tu fotografię pani Wolfern, ale z pierwszych czasów jej małżeństwa. Miała wtedy dopiero siedemnaście lat i wyglądała bardzo dziecinnie, tak, że prawie niemożliwem jest za pomocą tej fotografii dać zupełny dowód jej tożsamości. W czasie naszej podróży nabyłem jednak silnego przekonania, że nie mylę się w osobie. Nie tylko bowiem odnosiła się z wielką miłości do dziecka, ale także ono nazywało ją „mama", podczas, gdy na swą opiekunkę mówiło wyraźnie „Ana". Ana znaczy w języku dziecka tyle co Alma, a takie właśnie jest imię kucharki pani baronowej, dawnej służącej ich domu, która przy niej przebywała i na jej rozkaz dziecko uprowadziła.

— Co pani odpowie na te zarzuty, milady? — zwrócił się do niej urzędnik.

— Człowiek ten fantazyuje — zaprotestowała młoda kobieta ze ściśniętem obawą sercem.

— W każdym razie nie mogę pytania tego tu roztrząsać, proszę państwa udać się za mną.

Doktor Burger rozmawiał po cichu na uboczu z adwokatem Ammarellem, opowiedział mu całą sprawę i prosił go, aby się nią zajął, mimo, iż z góry była do przewidzenia przegrana. Dr. Ammarell, pełen wdzięczności dla młodej kobiety za jej odwagę, przedstawił się urzędnikowi, wylegitymował i starał się dowodami prawniczymi przekonać go o niesłuszności jego postępowania.

— Pan przekracza swój zakres działania, jeśli pan tak dalej będzie postępował, — dowodził stanowczo. — Anglia jest państwem wolnem, a przedewszystkiem wolność osobista doznaje u niej specyalnej opieki prawa. Pan nie może tylko na podstawie przypuszczeń i na świadectwo jednego człowieka, który nie umie nawet dać dostatecznych dowodów, wkraczać gwałtem w prawa osobiste osób prywatnych. Czyż ten pan — Gelbke czy Lüdik, — nie przyznał sam, że ta dama nie podobna jest do rzekomej swej fotografii. Gdyby nawet była ona z czasów jej młodości, to przecież ta pani nie zmieniła się znowu tak bardzo w kilku latach, aby ją nie było można poznać. Pokaż pan tę fotografię, panie Lüdik!

Detektyw wyjął fotografię z portfelu i podał ją urzędnikowi. Ten badał ją z miną wielkiego powątpiewania, spoglądając raz na oryginał, to znowu na fotografię. Lüdik miał racyę; było podobieństwo, ale nie wystarczało ono, aby módz stanowczo rozstrzygnąć kwestyę tożsamości.

— Pani baronowa, — bronił detektyw swej sprawy, — była wtedy bardzo nierozwinięta, drobna i o rysach dosyć ostrych. Fotografia utrudnia sprawę o tyle, że przedstawia panią z profilu, a właśnie profil najwięcej się zmienił.

Urzędnik policyjny zaczął się wahać. Zbadał jeszcze raz papiery i legitymacye adwokata, poczem zaczął szeptać coś ze swym kolegą.

— Kto właściwie panów tu wezwał? — wypytywał adwokat.

— Ja telegrafowałem do urzędu policyjnego, — oświadczył detektyw za nich. — Biorę całą odpowiedzialność za postępowanie tych panów na siebie. Nie dajcie się panowie w błąd wprowadzić. Manipulacye tych panów idą w tym kierunku, aby ułatwić matce ucieczkę z dzieckiem.

— Panie! — rzucił się adwokat oburzony. — Jak pan śmie? Pan odważa się obrażać takich ludzi, jak ja i dr. Burger i probuje pan urzędnika skłonić do nadużycia władzy urzędowej!

Policyanci stali niezdecydowani, — fałszywe postąpienie mogło spowodować dla nich naganę, albo nawet coś gorszego. Detektyw ocenił krytyczność sytuacyi.

— Tam na brzegu czeka baron Wolfern osobiście, — zawołał nagle uradowany. — Teraz się wszystko wyjaśni. Z Cherbourga telegrafowałem do policyi w Liverpolu, jak i do niego, który szukał zbiegów w Hawrze. Do Cherbourga byłby się spóźnił, ale do Liverpolu przybył wcześniej, niż my. A więc, pani baronowa, czy pani będzie jeszcze zaprzeczać?

W śmiertelnej trwodze zwróciło się spojrzenie Margi ku lądowi. Okręt był już bardzo blizko brzegu, a zapadająca noc nie zaciemniła jeszcze zupełnie światła, tak, że można było dokładnie rozróżnić osoby, które na brzegu oczekiwały przybycia okrętu.

Wśród stojących wyróżniał się wysoki, elegancko ubrany pan, który stał nad samą wodą i niecierpliwie patrzył na zbliżający się okręt. Zachowanie jego było spokojne i wyniosłe.

Głośny okrzyk boleści wydarł się z jej ust; detektyw mówił prawdę! Tam stał człowiek, którego nienawidziła i zarazem się bała. Był to elegancki i przystojny mężczyzna, chociaż twarz jego zdradzała, że prowadzi życie rozwiązłe. Wysoki, w całem swem zachowaniu się zdradzał gentelmana. Oczy jego ciemno niebieskie, miały jednak pewien ironiczny wyraz, który wskazywał na wielką oziębłość serca.

Dumnie stał na wybrzeżu, a kiedy poczuł na sobie spojrzenie swej szwagrowej, pozdrowił ją ironicznie.

— Za późno, za późno! — zawołała nieszczęśliwa, tracąc panowanie nad sobą. — To on, nie trudźcie się już panowie, sprawa już jest przegrana. O moje dziecko, mój mały, kochany, nieszczęśliwy Rudolf!

Rzuciła się ku służącej, porwała dziecko na ręce i przytuliła je z wybuchem namiętności do piersi.

— Sprobujcie mi go porwać! — krzyknęła, pokonana wzburzeniem. — Raczej rzucę się z nim do morza, nim wydam go z moich rąk.

— Proszę uważać! — ostrzegł detektyw. — W zapamiętaniu zdolna jest do tego!

Doktor Burger i adwokat Ammarell nadbiegli natychmiast, aby młodą kobietę uspokoić.

— Proszę mnie puścić! — łkała konwulsyjnie. — To moje dziecko, moje dziecko! Nikt go tak nie kocha, jak ja, tylko nienawiść i łotrostwo chce mi je ukraść!

Okręt tymczasem przybił do brzegu. Baron Wolfern wszedł na pokład. Rozmówił się krótko z obu przedstawicielami władzy, potem ten urzędnik, który mówił przedtem po niemiecku, wskazał na młodą kobietę z dzieckiem i zapytał:

— Czy to to dziecko, panie baronie?

— Tak, to, — odpowiedział baron, rzucając na płaczącą kobietę niepewne spojrzenie.

— Proszę wydać nam dziecko, mylady, przecież nic pani nie pomoże — inaczej musielibyśmy użyć przemocy.

— Niech pani ustąpi przed siłą, — tłómaczył jej dr. Ammarell. Może znajdziemy inny sposób, aby pani znowu dziecko powrócić. Niech pani uniknie skandalu.

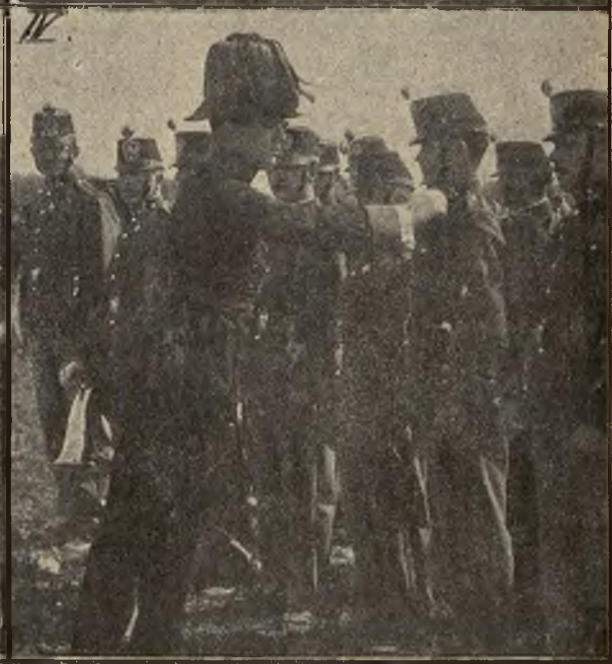
— Ach! co mnie skandal obchodzi!? — wybuchnęła w gniewie. — Za wybranie gniazda ptaka naznaczacie surowe kary, a nie cofacie się przed tem, aby matce odebrać to, co ma najdroższego.

(Ciąg dalszy nastąpi).















Uroczystości w Przemyślu: 1) Przemówienie komendanta korpusu jenerała Kummera. 2) Komendant twierdzy, jenerał Collard. 3) Komendant korpusu dekoruje sztab. 4) Oficer dekoruje żołnierzy. 5) Komendant korpusu jen. Kummer w otoczeniu sztabu. 6) Kapelan podaje jen. Kummerowi wodę święconą. 7) Defilada.

(Fot. M. Todt, Przemyśl).

Kronika tygodniowa.

Od tygodnia, aby dać wyraz kanikule, której jednak jakoś doczekać się nie mogę, czytuję z całem nabożeństwem wszystkie artykuły wstępne naszych pism politycznych, ze szczególniejszem zaś zamiłowaniem recenzye muzyczne.

I tu i tam siłą się autorzy na styl o ile możności jak najbardziej kwiecisty i przyznać trzeba, osiągają efekt wprost przeciwny, jak się spodziewali. Przeciętny czytelnik przeczyta i uśmiechnie się z politowaniem.

Pozwolę sobie przytoczyć dwa wyjątki, jakie na własne oczy czytałem i własnoręcznie, ku wiecznej rzeczy pamiątce, przepisałem.

Pierwszeństwo daję sztuce.

„Materyał głosowy bujny, dźwięczy nader sympatycznie w średnicy, błyszcząc zaletami niezwykłej piękności w górnym regestrze, oraz tętniąc świeżością w ruchach najwyższych. Głos to liryczny, jeden z tych, który ujmuje pięknością dźwięku, oraz nader bogatą kolorystyką dźwięku jędrnego, mięsistego i niezwykle rozlewnego w audytoryum".

A teraz kolej na politykę.

„Tańcowanie kankana jurnego po kanwie dyplomatycznej, uprawiane dotychczas przez wszelakie mocarstwa i przez Austryę z wytrwałością, pozostającą w odwrotnym stosunku do wyników, nie nastraja do zbyt wyszukanej admiracyi tej całej roboty dyplomatycznej. Nie przebija w niej nigdzie jakaś potężna, daleko sięgająca koncepcya polityczna, natomiast zewsząd przejawia się trwoga przed czynem śmiałym, trwoga zawoalowana tylko rutyną roboty biurokratyczno-dyplomatycznej".

Zastrzegam się, że ani słowa nie dodałem, ani też ująłem. Tydzień prawie mija, jak zastanawiam się nad tem, co bardziej podziwiać: kwiecistość stylu, czy też głębokość myśli.

Gdybym był redaktorem owego pisma, z którego podałem te wyjątki, byłbym z pewnością obu autorom odpowiedział w ten sposób, jak ów redaktor chiński, zwracający niewydrukowany artykuł z takim dopiskiem:

„Z niewypowiedzianym zachwytem przeczytaliśmy rękopis WPana. Bierzemy na świadków święte prochy naszych przodków, że nigdy w życiu nie czytaliśmy piękniejszej rzeczy, jak Pański artykuł. Obawiamy się jednak, żeby Jego Wysokość Bogdychan, po przeczytaniu tego artykułu nie kazał go wziąć za przykład i nie drukować niczego, coby było gorszem od tego artykułu. Taki wspaniały utwór, jak artykuł WPana, pojawia się raz na tysiąc lat. Żałujemy najmocniej, że nie możemy zeń skorzystać i, przepraszając po tysiąckroć, zwracamy Wielmożnemu Panu rękopis".

Od siebie dodałbym jeszcze: „do wiadomego użytku".

Z kolei rzeczy przechodzę do sprawy, która w ostatnich czasach zajmuje opinię publiczną. Jest to masowy eksport żywego towaru do Kanady, przedsiębiorstwo bardzo rentowne, ale też i bardzo nieładne.

Co zaś najgorsze, że tym handlem chłopską skórą zajmują się właśnie ci, którzy ogłaszają się za przyjaciół ludu i twierdzą, że tylko jego interes mają na względzie.

Ze przedsiębiorstwo jest rentowne, o tem niema dwu zdań, wystarczy powiedzieć, że pan poseł Petryckyj wysłał, jak podają lwowskie pisma, około ośm tysięcy osadników do Kanady, pobierając po dwadzieścia koron od głowy.

Zupełnie to samo, zarzucają naszemu stronnictwu ludowemu, pod którego patronatem zostaje emigracya kanadyjska, a *Kuryer lwowski* w ten sposób charakteryzuje działalność pana Jana Stapińskiego w stosunku do Galicyi wschodniej:

„Parcelacya obszarów dworskich w Galicyi wschodniej ratuje wrogów ludu t. j. obszarników. Pan Stapiński, jako szczery przyjaciel ludu na to nie pójdzie, bo toby było wyzyskiwaniem uczuć patryotycznych ludu polskiego na szkodę tegoż ludu... A zatem, żeby zniszczyć gruntownie obszarników, pan Stapiński do spółki z „Canadian Pacifikiem" wyprowadzi nadmiar ludności chłopskiej do Kanady na stałe osiedlenie i w ten sposób cały kompleks pierwszorzędnych zagadnień narodowych zostanie jednym zamachem załatwiony".

W dalszym ciągu podnosi autor artykułu bardzo słusznie, że skoro obszary dworskie we wschodniej Galicyi muszą pójść na parcelacyę, ktoś tę ziemię musi kupić, a skoro nie pozwala pan Stapiński na to chłopom polskim, kupi ją albo Rusin, albo spekulant.

Dziwić się też należy, że pan Stapiński tak radykalnie się zmienił, do niedawna bowiem był całkiem innego zdania, zakładając Bank parcelacyjny i agitując w kraju i Ameryce za kupowaniem ziemi w Galicyi wschodniej. Wówczas było to najpiękniejszym aktem patryotycznym, dziś jest zbrodnią, gdyż ratuje wrogów ludu, czyli obszarników, z którymi przecież pan Jan tak lubi zawierać rozmaite pakty.

Kuryer lwowski dodaje złośliwie, że piękna propaganda za parcelacyą obszarów dworskich tak długo trwała, jak długo p. Stapiński miał anonse z Banku parcelacyjnego, gdy się zaś urwały, a przyszły zamiast nich ogłoszenia „Canadian Pacifiku" odrazu zmieniły się oryentacye, hasła i czyny.

Że jest racyi w tem wiele, tego nikt zaprzeczyć nie może, ja dodam od siebie, zmianie poglądów zupełnie się nie dziwię, zwłaszcza, że hasło pozostaje zawsze to samo: niszczyć obszarników, jako wrogów ludu pracującego!

Zmieniają się tylko sposoby niszczenia. Dawniej mówiono: kupujcie ich ziemię, w ten sposób ich zrujnujecie, dziś się powiada: jedźcie do Kanady, nie kupujcie ziemi od obszarników, wtedy oni muszą zginąć...

Jak zastraszające rozmiary przybrała owa kanadyjska emigracya, poznać można choćby z tego, iż nawet ministerstwo wojny, widziało się zmuszonem zwrócić uwagę miarodajnych czynników na wzrastający z każdym rokiem brak rekruta.

Poruszyłem Kanadę z tego powodu, iż o niej mówią i piszą wszyscy, jest to jednak sprawa tak przykra, że lepiej było dać jej spokój.

Ogromnie natomiast podobają mi się Niemcy, którzy obecnie zaczynają grozić Belgii. Poważyła się ona dopuścić strasznej zbrodni przeciw niemczyźnie, gdyż tamtejsza Izba poselska przyjęła znaczną większością głosów prawo, pozwalające kandydatom do szkół wojskowych składać egzamin wstępny w języku walońskim, albo flamandzkim, natomiast odrzuciła prawo składania go w języku niemieckim.

Wszechniemcy alarmują opinię publiczną i swe koła rządzące, aby energicznie zajęły się opieką nad prawami języka niemieckiego w Belgii, gdzie Szwabów niema nawet sto tysięcy.

A cóż panowie z Berlina powiedzą o swym stosunku do Polaków, których pod berłem Hohenzollernów jest z górą cztery miliony, a odmawia się im wszelkich praw?

O nas jednak nikt się nie troszczy, Europę boli głowa, co będzie z Mirydytami lub Malissorami, Polacy to *eine minderwertige Nation*, którą i zajmować się nie warto.

Część kroniki poświęcić muszę modom, choć referentom tego działu nigdy dotąd nie byłem.

Mam na myśli przedewszystkiem modę złotych zębów. Dziś każdy szanujący się młodzian musi mieć bodaj jeden kawałek złota w swej jadaczce, śmieje się zawsze tą stroną, w której on się znajduje, a zapomina o niebezpieczeństwie, jakie mu grozi, jeśliby przypadkiem piorun w niego uderzył. Złoto jest przecież bardzo dobrym przewodnikiem elektryczności, tak jak każdy metal.

Znam młodzieńca, który kazał sobie wyrwać dwa zdrowiuteńkie żęby, by módz kazać wprawić miast ich złote, inny wmawia w siebie, że dlatego chudnie, ponieważ nie ma złotych zębów, a on innymi jeść nie potrafi.

Do tej „złotozębowej" mody, której uległ nawet mój przyjaciel polityczny, pan Władysław, przyłącza się nowa, nazwijmy ją „modą łysin".

A wszystkiego narobił *Kuryerek!*

Czytamy tam, że jedno z pism włoskich rozesłało do swych czytelników zapytanie, co przynosi większe szczęście w życiu rodzinnem, czy bogate owłosienie, czy też łysina męża? Okazało się, że Włoszki są stanowczo zwolenniczkami łysin.

Według nich mężczyzna ozdobiony bujną czupryną jest prawie zawsze egoistą, dba zbyt wiele o swą powierzchowność i lubi flirt, co przynosi szkodę żonie i rodzinie.

Łysi natomiast są prawie na ogół bardzo dobrymi ojcami i mężami.

Jedna z niewiast przytacza na dowód, że ma syna, który od najmłodszych lat okazywał bardzo przykry charakter, gdy zaś w dwudziestym trzecim roku wyłysiał, zmienił się na korzyść, a nawet się ożenił.

Wobec tej włoskiej „łysinomanii" nic też dziwnego, że niektórzy z naszych młodzieńców, którzy chcieliby mieć szczęście u kobiet, starają się gwałtownie o „zapuszczenie" łysiny, sypiają tedy w krótkich łóżkach, a nawet nieraz i trą głową o ścianę.

Kto jednak wie, czy nasze panie mają taki sam gust, jak Włoszki. O ile ja wiem z własnego doświadczenia, moja n. p. magnifika stanowczo łysiny nie lubi, a wnoszę to stąd, iż, ilekroć jest w złym humorze, nazywa mnie z zasady „łysym niedołęgą".

Wartoby w tym kierunku rozpisać ankietę, wynik jej byłby bardzo ciekawy.

A propos mód, muszę zaznaczyć, że Amerykanie okazali się niedawno temu bardzo niegrzecznymi dla płci nadobnej, w szczególności zaś sędzia w mieście Richmondzie, który pewną damę, ponieważ ukazała się na ulicy w bardzo przeźroczystej sukni, skazał z miejsca na grzywnę w wysokości dwudziestu dolarów.

Pani owa spacerowała sobie najspokojniej, jak pisma podają, w „stroju Röntgena" (przypominającym bardzo strój Adamowy), widocznie jednak podobało się to Richmondczykom, albowiem zrobili zbiegowisko i podziwiali piękne kształty swej rodaczki!

Innego natomiast zdania był stróż bezpieczeństwa publicznego (ach! oni wszędzie są jednacy!), wezwał bowiem urzędowo: Panowie! Proszę się rozejść! — damę zaś odtransportował do policyi.

Biedaczka tłómaczyła się, że przecież to francuska moda, sędzia był głuchy.

— Zapłaciłam za suknię — wołała z płaczem — mogę więc w niej chodzić!

— Nie, łaskawa pani! — odparł kapłan Temidy (podobno stary i nieprzyjaciel kobiet) — To tak samo, jak gdybym ja powiedział sobie, że mogę ludziom w łby strzelać, ponieważ kupiłem sobie rewolwer.

I tem jej zamknął usta.

Wogóle amerykańska sprawiedliwość jest bardziej bezwzględną, niż nasza.

Przed pięciu mniej więcej laty sensacyę wywołało w całym świecie skazanie znanej firmy *Standard Oil Company*, za przekroczenie ustaw i nielegalne praktyki trustowe na karę dwudziestu dziewięciu milionów dolarów, obecnie donoszą, że w procesie, jaki się toczy przeciw dwu towarzystwom kolejowym o podobne nielegalne praktyki finansowe, prokurator zamierza zgłosić wniosek o skazanie ich na 90 milionów dolarów grzywny (około 450 milionów koron).

Gdyby tak zabrano się u nas do różnych rycerzy przemysłu i zaczęto na nich nakładać takie kary pieniężne, z pewnością kasy państwowe nie cierpiałyby na chroniczne suchoty. Oni woleliby jednak karę odsiedzieć.

W Przemyślu odbył się onegdaj bardzo ciekawy proces. Na ławie oskarżonych zasiadło ośmiu kulawych, których prokuratorya oskarżała o sztuczne wywołanie kalectwa celem uwolnienia się od wojska. Naturalnie byli to sami synowie Judy, waleczni Machabeusze.

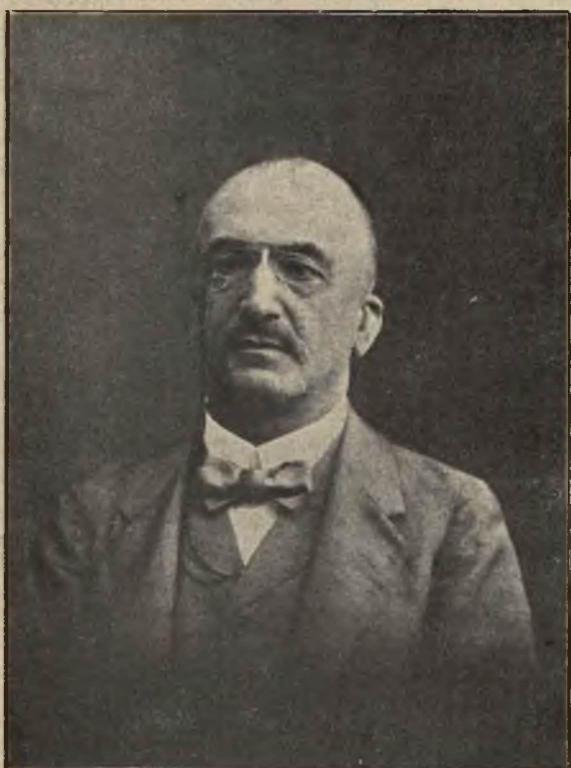
Uwolniono wszystkich, częściowo bowiem nie znaleziono winy, częściowo zaś zaszło już przedawnienie, znoszące karygodność czynu.

W każdym razie był to proces sensacyjny, świadczący też o przemyślności dziatwy Izraela, nie gardzącej żadnym środkiem, byle się tylko uwolnić od służby wojskowej.

Narzekają ludzie powszechnie na biedę i widzę, że mają racyę. Było źle, jest źle, powiadają, że będzie jeszcze gorzej, więc niech nikt nie traci nadziei. Dowodem golizny okoliczność, że w ostatnich czasach kroniki policyjne notują w rubryce: zgubiono, znaleziono same tylko kartki zastawnicze, a kilku mych osobistych znajomych, będących chwilowo słomianymi wdowcami, zastawiło nawet ślubne obrączki.

Nowa placówka naukowa w Warszawie.

Kwestya badania psychicznych stanów człowieka jest zagadką, o której rozwiązanie od wieków trudzą się naukowi szperacze. Dusza ludzka, jej przejawy na zewnątrz i stany, wynikające z różnych uświadomień, stanowią bardzo ważne źródło dla badań na ludzką wolą i myślą. Sprawy te, dostatecznie wyjaśnione, tłomaczą nieraz różne stany usposobień ludzkich i dlatego zwłaszcza dla lekarzy są bardzo ważnym przyczynkiem do różnych metod leczniczych.



Nowa placówka naukowa w Warszawie: Dr. Władysław Gajkiewicz, prezes Towarzystwa warszawskiego instytutu psychologicznego.

Aby odpowiednie badania przeprowadzać, zorganizowano w Warszawie specyalne towarzystwo, które powołało do życia instytut psychologiczny.

Na zebraniu organizacyjnem kuratorem nowej instytucyi wybrano p. Wiktora Skibniewskiego, zaś na prezesa zarządu powołano dr. Władysława Gajkiewicza.



Po latach trzydziestu: Uczestnicy zjazdu koleżeńskiego maturzystów Seminaryum nauczycielskiego w Krakowie.

Instytut ten będzie prowadził własną pracownię psychologiczną, a w program prac instytutu na razie wejdzie szereg prac psychologicznych, oraz studya nad podświadomością. Trzecią grupę badań stanowić będą prace pp. Abramowskiego i dr. Juljana Ochorowicza, prowadzone nad medyami.

Nowa placówka naukowa na razie prowadzona będzie w bardzo skromnym zakresie. Podobny instytut w Petersburgu, który hojnie wyposażony jest przez rząd, ma cztery wydziały i frekwencyę około 1000 słuchaczy.

W każdym razie nowy ten zakład naukowy jest poważną zdobyczą, która przyczyni się do pogłębienia nauki psychologii i polskiej pracy naukowej poważne odda usługi.

Po latach trzydziestu.

Niema zapewne zawodu, w którymby śmierć zbierała tak obfite żniwo, jak w zawodzie nauczyciela ludowego. Nadmierna praca wśród ciężkich warunków materyalnych i nieodpowiednie pomieszczenie szkół, zwłaszcza po wsiach, to powody, dla których młode organizmy już w zaraniu zawodu zapadają na nieuleczalne choroby. Wprawdzie w ostatnich latach zrobiono już niejedno pod względem lepszego urządzenia budynków szkolnych, ale któż zdoła pojąć i ocenić, ile przykrości i cierpień przeszli ci, których wysłano pomiędzy ciemny a uprzedzony lud wiejski przed laty 30, aby byli pierwszymi pionierami światła i postępu we wsi polskiej. A wtedy właśnie padło w Sejmie hasło: „Choć w kurnej chałupie, lecz w każdej wsi szkoła".

Wysłano ich, więc poszli bez szemrania, aby w nędznej, wynajętej lepiance wiejskiej uczyć za 200 reńskich ówczesnej waluty po 200 do 300 dzieci. Poszli, bo młodzież owa wychowana w zakładzie, w którym żył jeszcze duch ś. p. Andrzeja Józefczyka, umiała przenosić pracę dla ziemi ojczystej nad materyalne widoki.

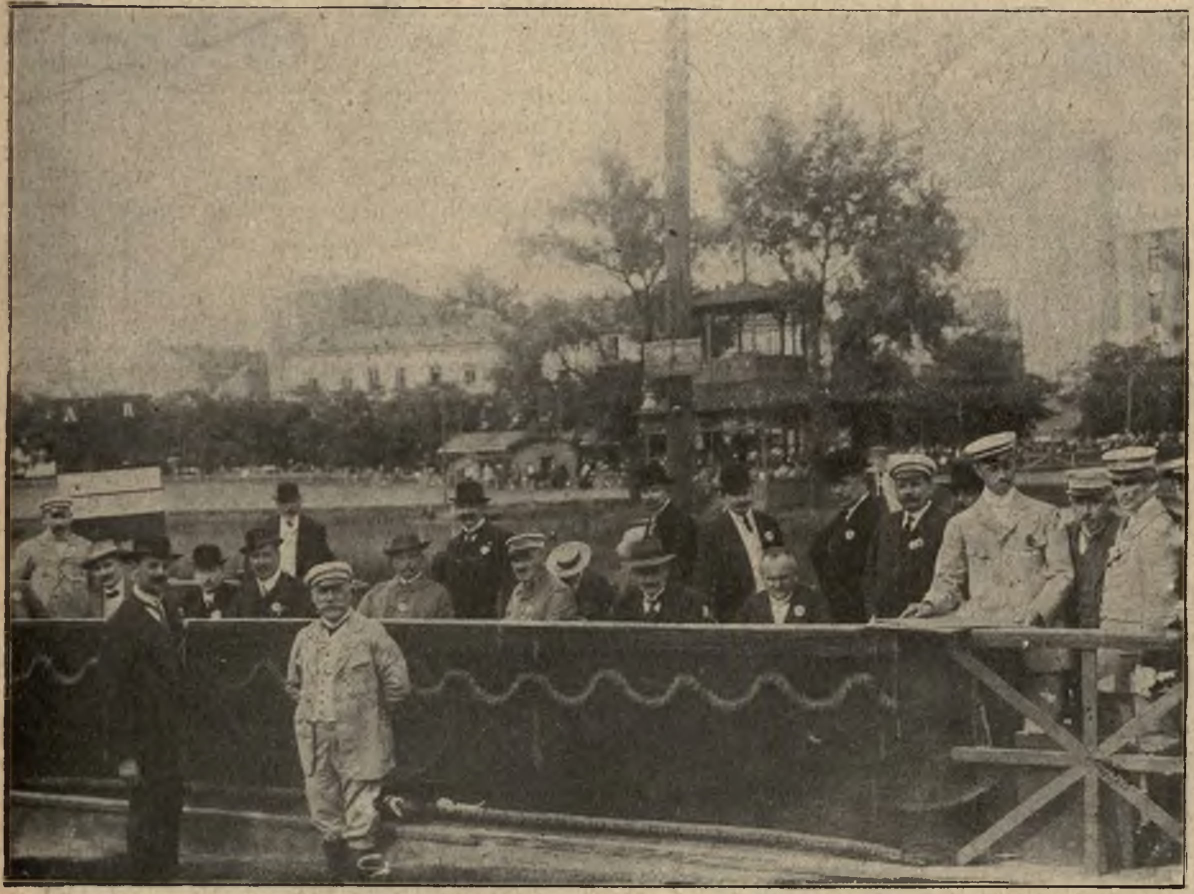
W dniu 4 b. m. zjechali się oni po 30 latach



Wycieczka lekarska z Ameryki: Grupa lekarzy amerykańskich w Wiedniu.

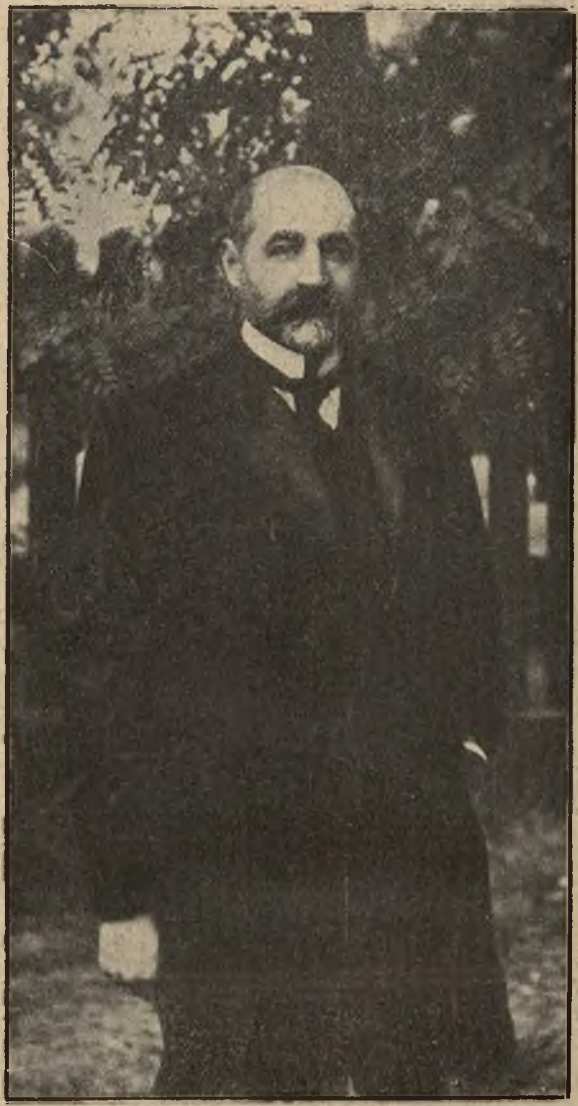


Międzynarodowe wyścigi warszawskiego Tow. cyklistów: Start



Międzynarodowe wyścigi warszawskiego Tow. cyklistów: Trybuna sędziów.

rozłąki w Krakowie na zjazd koleżeński. Wielu ich brakło, bo śmierć tak przerzedziła ich szeregi, że z 52 pozostało przy życiu zaledwie 30, a nadto z żyjących pewna część z powodu odległości przybyć nie mogła. Po odprawionem przez ks. prałata Bielenina i ks. Maryana Borowiczkę nabożeństwie w kaplicy Matki Boskiej Bolesnej kościoła Franciszkańskiego zebrali się uczestnicy zjazdu w sali IV. kursu seminaryum nauczycielskiego, gdzie dyrektor zakładu, a dawny katecheta uczestników zjazdu, ksiądz prałat J. Bielenin, powitał ich serdeczną



Nowa placówka naukowa w Warszawie: Dr. Rafał Radziwiłłowicz, wiceprezes Tow. warszawskiego instytutu psychologicznego.

przemową i odczytał katalog. Potem udali się uczestnicy wraz z ks. prałatem Bieleninem do wspólnej fotografii, a następnie na skromną ucztę do hotelu Pollera, gdzie serdeczna pogadanka i ożywiona wymiana myśli dodała tym posiwiałym już pracownikom na polu oświaty nowego bodźca do dalszej pracy. Żegnano się słowami: Do rychłego zobaczenia tu, albo tam, gdzie wszyscy wkrótce podążyć musimy.



Zgon znanego publicysty: Stanisław Mendelson (według portretu Jacka Malczewskiego). (Fot. Maryan Fuks, Warszawa).



Echa katastrofy żywiołowej: Pierwszy pociąg osobowy, przejeżdżający przez podmyty tor (po podstęplowaniu szyn) pomiędzy Rabą Wyżną a Sieniawą na linii Chabówka-Zakopane.

Międzynarodowe wyścigi warszawskiego Towarzystwa cyklistów.

Ze wszystkich miast polskich najbujniej rozwija się życie sportowe w Warszawie, gdzie nawet awia-



Międzynarodowe wyścigi warszawskiego Tow. cyklistów: Start zagranicznych jeźdźców.

tyka jest uprawianą. Naturalnie, takie popularne sporty, jak wioślarstwo i kolarstwo, mają tam liczne rzesze zwolenników i świetnie prosperujące organizacye. „Dzielni" wioślarze i „sprężyści" cykliści cieszą się też ogólną sympatyą, a ich kluby są ogniskiem życia towarzyskiego Warszawy.

Liczne rzesze mieszkańców Warszawy spieszą też zawsze na organizowane corocznie przez te stowarzyszenia regaty i wyścigi. I w roku bieżącym tłumnie i gwarno było na międzynarodowych wyścigach, urządzonych przez Warszawskie Towarzystwo cyklistów w uroczej siedzibie stowarzyszenia — na Dynasach.

Zamieszczone w dzisiejszym numerze illustracye przedstawiają różne momenty z tych interesujących zawodów, w których licznie wzięli udział i zagraniczni kolarze.

Zgon znanego publicysty.

Przed kilku dniami zmarł nagle w Warszawie znany publicysta i działacz społeczny Stanisław Mendelson, jeden z najruchliwszych swojego czasu działaczy socyalistycznych.

Urodził się w Warszawie w r. 1858. Pierwsze lata młodości spędził w Królestwie, gdzie brał wybitny udział w pracach organizacyjnych stronnictw rewolucyjnych. W r. 1878 przeniósł się za granicę do Szwajcaryi, skąd na pewien czas udał się do Niemiec i Francyi, wszędzie pracując gorliwie dla swej idei.

Przez pewien czas aż do r. 1880 przebywał także w Austryi, skąd jednak wskutek zbyt gorącej swej działalności musiał przenieść się do Anglii. W Londynie zdał egzamin adwokacki i rozpoczął pracę adwokacką oraz publicystyczną.

Niebawem w jego przekonaniach dokonała się ciekawa ewolucya: ze zwolennika radykalizmu stał się gorącym wyznawcą zasad konserwatywnych. Przesiedlił się do Lwowa, potem do Krakowa, gdzie pracował w konserwatywnym „Czasie".

Przez pewien czas jako konserwatywny polityk zajmował tu wybitne stanowisko. Wreszcie jednak przemiana przekonań politycznych zmusiła go do opuszczenia Galicyi. Wrócił do Warszawy, gdzie wstąpił w szeregi żydów-nacyonalistów, zmieniając po raz trzeci swą ideologię.

Ruchliwy i zdolny, potrafił Mendelson, pomimo swych przeskoków politycznych, wyrobić sobie wybitne stanowisko w historyi ruchu społecznego w kraju.

Uroczystości wojskowe w Przemyślu.

Z okazyi zbrojnego pogotowia, w jakiem pozostawała armia austryacko-węgierska w pamiętnych latach 1912 i 1913 ustanowiono odznakę, którą zostaną ozdobieni wszyscy ci, których wówczas do służby czynnej powołano.

Jest to krzyż bronzowy, wcale zgrabny, z wytłoczoną na przodzie datą 1912—1913. Nosi się go na piersi na czarno-żółtej wstążce.

Rozdanie pamiątkowych odznak odbywa się we wszystkich garnizonach w różnym czasie, według zarządzenia odnośnej komendy; w tych dniach nastąpiło w Przemyślu.

W sobotę, dnia 26 lipca, zebrał się o godzinie 8-ej rano cały garnizon przemyski w paradzie na placu ćwiczeń, Wilcze. Dowodził komendant twierdzy, feldmarszałek-porucznik Collard.

Po przybyciu komendanta korpusu, ekscellencyi Kummera, który, otoczony licznym sztabem, odbył przegląd wojsk, w specyalnie ustawionym namiocie



Z pola walki na Bałkanach: Obiad jeńców bułgarskich w Üskübie.

proboszcz wojskowy odprawił mszę polową. Przygrywała muzyka 10 pułku piechoty.

Po mszy nastąpiło rozdanie pamiątkowych krzyżów po stosownej przemowie komendanta korpusu, który własnoręcznie udekorował jeneralicyę i sztab. To samo uskutecznili równocześnie komendanci poszczególnych oddziałów.

Nastąpiła defilada przed komenderującym i jeneralicyą.

Pogoda dopisała, nie brakło też ciekawych, któ-



Międzynarodowe wyścigi warszawskiego Tow. cyklistów: Przed metą.

rych całe tłumy pospieszyły na Wilcze, aby przypatrzyć się uroczystości i usłyszeć skoczne marsze.

Wycieczka lekarska z Ameryki.

Ameryka zawsze pozostanie dla nas krajem postępu i rozwoju cywilizacyi. Choć nieraz Europa ją wyprzedzi, to jednak zawsze urok pewien pozostanie i ten sprawia, że Ameryka jest dla nas owym krajem obiecanym i nadzwyczajnym. Zresztą, jeśli chcemy być sprawiedliwymi, musimy przyznać, iż Ameryka stara się przodownictwo swoje utrzymać i Amerykanie więcej niż my i chętniej jadą do Europy, aby się uczyć i podpatrywać stary świat w tem, co ma ciekawego i pożytecznego.

Obecnie bawiła w Wiedniu duża wycieczka lekarzy amerykańskich, (50 mężczyzn i 22 kobiet), która zwiedzała wiedeńskie instytuty lekarskie i szpitale. Prowadził wycieczkę przewodniczący związku lekarzy amerykańskich dr. de Garno. Między innymi uczestniczyło w wycieczce kilku bardzo wybitnych lekarzy amerykańskich, jak prof. Albee z Nowego Jorku, dr. Alderson z Lousville, prof. Anderson z San Francisco i wielu innych.

Lekarze zwiedzili wszystkie wiedeńskie kliniki, gdzie odbyło się dla nich kilka specyalnych wykładów. Panie towarzyszące wycieczce podejmowane były gościnnie przez żony lekarzy wiedeńskich, pod których przewodnictwem zwiedzały miasto.

Na wystawie Adryatyckiej wydano na cześć wycieczki wspaniały bankiet. Illustracya nasza przedstawia grupę uczestników wycieczki w Wiedniu.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 29.

Zadanie konikowe:

Wiek już spłynął niepowrotnie,
Jako fale te w Elsterze,
Które Cię na śmierć tuliły,
Józefie, nasz bohaterze.

Wiek przeminął, gdyś za wolność
Oddał życie swe w ofierze,
A choć w ślady Twe szło wielu,
My w niewoli, bohaterze!

Zadanie do przestawienia: Jak się ożeni, to się odmieni.

Arytmogryf:

M i ę t u s
C h ł o p i
B r z e ś ć

Rebus: Sparaliżowany kaleka, godna to politowania istota.

Przekładanka:

A r c h i m e d e s
D r z e w e c z k o
A m e r y k a n i n
M a ł p o w a n i e
M a n u s k r y p t
I r r y g a t o r y
C h r z e s t n i k
K a r a b i n i e r
I n d y k a t o r y
E p i k u r e i z m
W i e r s z o p i s
I r l a n d c z y k
C z a s o w n i k i
Z o o l o g o w i e

Przysłowiówka: 1. Wart pałac Paca, a Pac pałaca. 2. Jaki pan, taki kram.

Okienko:

K	a	l	e	t	k	a
a			n			r
l			k			y
c	h	a	l	d	e	a
h			a			d
a			w			n
s	u	m	a	t	r	a

Szarada świętojańska· Ko hanie.

Trójkąt magiczny:

K	o	n	o	p	n	i	c	k	a
O	b	s	z	a	r	n	i	k	
N	o	r	w	e	g	i	a		
O	s	t	e	n	d	a			
P	a	n	a	m	a				
N	u	r	e	k					
I	r	y	s						
C	ł	o							
K	m								
A									

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: D Sedyńska Kraków, M. Planecka Kraków, F. Gebhardt Kraków, J. Roland Warszawa, D. Zawadzki Jasło, R. Pawłowski Zamość, M. Rawska Głogów. J. Opolski Tarnów, K. Radziński Lwów, J. Jabłoński Lwów, S. Karczmarski Poddębie, M. Cichocka Brzeżany, H. Mazurkiewicz Lwów, W. Kownacki Poznań, H. Zegartowska Bogucice, K. Ostrowski Sandomierz, A. Biliński Lwów, K. Sroczyński Wilno, H. Bukowska Winnica, J. Maciejowski Lwów, R. Topolnicki Kamieniec, M. Obst Lwów, J. Pick Warszawa, S. Chełmicki Wilno, K. Szumańska Rawa Ruska, J. Kalinowska Mińsk, S. Wysoczański Poznań, S. Karwowski Gniezno, G. Górski Petersburg, J. Charzewski Kraków, M. Sokołowska Kraków, D. Engelberg Rzeszów, J. Antosz Tarnów, H. Popiel Warszawa, K. Giżyńska Kijów, H. Gliński Kołomyja, J Lewiński Piotrków, R. Michalski Lwów, S. Krzyżanowski Podgórze, H. Mróz Janów, M. Zamojski Lublin, J. Cieśliński Rzeszów, T. Kępiński Łomża, K. Reichenberg Cieszyn, M. Raszka Cieszyn. H. Wiewiórowski Jasło, J. Wilczkiewicz Sanok, J. Jakubowska Kraków, K. Osuchowski Warszawa, J. Lipski Kraków, J. Pawłowski Lwów, M. Arbesbauer Lwów, S. Fiala Lwów, A. Gralewski Kraków, S. Blätterfeind Kołomyja, D. Rosenbaum Rzeszów, M. Krawecki Lwów, A. Bandrowski Częstochowa, S. Medyński Zakopane, J. Kwaśniewski Przemyśl, T. Trąbczyński Przemyśl, D. Schwadron Kraków, W. Świrski Piotrków, S. Rogozińska Kijów, H. Wolański Dąbrowa, M. Kunz Czerniowce, J. Trepka Sandomierz, B. Osadziński Krosno, D. Bernatowicz Jasło, J. Broda Rzeszów, R. Kinalski Kolbuszowa, J. Scholz Przemyśl, H. Nowacka Przemyśl, S. Linderski Jaworów, J. Leszczyński Rozwadów, T. Nikiel Kraków, F. Horak Oświęcim, A. Siatka Kraków, J. Łopatkiewicz Rzeszów, D. Łopatyński Lwów, K. Ciesielski Warszawa, J. Wysoczański Jasło, A. Więckowska Warszawa. I. Brzostowski Podgórze, J. Strojek Tarnopol, W. Potocka Tarnów, K. Armatys Kołomyja, J. Lisowski Sanok, R. Czarkowski Sokal, D. Chmura Lwów, H Piątek Podwołoczyska, J. Reiter Brody, D. Jahoda Cieszyn, R. Obraczay Morawska Ostrawa, Z. Sperling Wiedeń, H. Trojacka Wiedeń, J. Halski Janów, B. Sługocki Lwów, H. Radomska Kraków, H. Lindenbaum Jasło, M. Klappholz Rzeszów, M. Münz Stryj, K. Ohrenstein Podgórze, Z. Zacharska Nowy Sącz, H. Limanowski Warszawa, R. Gawiński Kraków, Z. Serwański Jasło, K. Kaim Kraków, H. Wincencik Kraków, A. Dużak Kraków, J. Kruszelnicki Lwów, J. Zachara Mielec, K. Wyka Tarnów, H. Kozicka Tarnów, J. Pytel Kolbuszowa, C. Wang Tarnobrzeg.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **J. Łopatkiewicz Rzeszów.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Ze świata kobiecego.

Lato.

Suknia kobieca staje się coraz więcej zawikłaną sprawą i nieraz trudno wprost jest dobrać słów, aby ją opisać i przedstawić. Pomysły magazynów paryskich i niemieckich, które ciągle jeszcze stoją na pierwszem miejscu w dyktowaniu mód dla całego prawie świata, są nieraz tak fantastyczne, iż wprost nie można ująć ich w jakieś reguły i formy. Nowoczesna moda nie darmo zdobyła sobie przydomek fantastycznej, a tajniki jej i przemiany mogą być dostępne tylko dla tego, kto lata całe odbywa specyalne nad nią studya.

Przeciętni badacze mody mogą jedynie kierować się w jej ocenianiu pewnemi wytycznemi ogólnej oryentacyi, które nadają specyalną cechę danej chwili, a które w obecnym sezonie dają się ująć w trzy punkty. Pierwszym jest poszerzenie sukien w okolicy bioder i brzucha, drugim rozszerzenie cokolwiek spodnicy w okolicy kolan, przy równoczesnem zmniejszeniu draperyi na dole nad kostką, a wreszcie trzeci, zupełne zniesienie stalkowania stanika z tyłu.

Z tych trzech zasadniczych wskazań wysnuwają się dalsze konsekwencye, które prowadzą do bardzo ciekawych zdobyczy mody.



Kapelusze letnie, przybrane tiulem i fantazyami z piór.

W dziedzinie kostyumów znowu zaczyna się obecnie zwracać uwagę przedewszystkiem na krawieckie wykończenie. Podajemy dwie illustracye takich kostyumów. Jeden, nadzwyczaj praktyczny, ma spodnicę ozdobioną rozcięciami o zaokrąglonych brzegach. Żakiet *bolero* jest cały zapinany i ma rodzaj fraczka. Rękawy są głęboko wszyte i mają szerokie mankiety formy dzwonkowej. Kołnierz jest szeroko wyłożony i ozdobiony płócienną, miękką koronką.

Drugi kostyum odznacza się specyalną robotą krawiecką. Zrobiony jest z ciemno niebieskiej *moire.*

Wśród nawału sukien spotkałam jedną bardzo oryginalną i ciekawą. Mianowicie moda znalazła kombinacyę sukni, którą można użyć zarówno jako suknię wizytową, spacerową, a nawet wieczorową. Zrobiona z ciemno czerwonego aksamitu, ma długą tunikę, z przodu rozciętą, ozdobioną koronką po obu stronach rozcięcia. Tą samą koronką ozdobiony jest także stanik, w formie przypominającej kimono, dosyć głęboko, okrągło wycięty. Jako suknię domową używać można ją w ten sposób, że tunikę się z przodu zupełnie zapina.

Jako suknię spacerową używa się ją w ten sposób, że się dodaje pasek, oraz rozpina tunikę z przodu do połowy. Brak rękawów długich uzupełnia się w ten sposób, że ubiera się długie duńskie rękawiczki.

Ta sama suknia może być użyta jako suknia wieczorowa, jeśli się do niej doda jeszcze rodzaj trenu, spadającego z tyłu od paska.

W ten sposób jedna suknia może służyć aż trzem użytkom, będąc w każdym wypadku równie elegancką.



Suknie letnie: (z lewej) z czerwonego atłasu z gufrowaną tuniką, ozdobiona haftami, (z prawej) z biało-niebieskiej tafty *changean* z żakiecikiem koronkowym.



Kostyumy letnie: (z lewej) z ciemnoniebieskiej *moire,* (z prawej) z szarego *railleur* z bolerem.

W dziedzinie kapeluszy nagle zapanowała wszechwładnie moda noszenia kapeluszy tiulowych, gazowych i koronkowych. Kapelusze słomkowe zostały wypuszczone zupełnie z łaski, natomiast objęły władzę jedynie kapelusze tiulowe, lekkie, fantastyczne, dające się wygiąć i dostosować do każdego kaprysu i pomysłu. Jakiejś zdecydowanej formy dla nich nie przyjęto. Przybranie kapeluszy idzie przeważnie w górę. Niezliczona ilość pukli i marszczeń gromadzi się obok siebie, albo też z główki kapelusza wyrastają liczne skrzydła tiulowe większe i mniejsze, które nadają kapeluszom wprost fantastyczny wygląd.

Główki robione są w ten sposób, że włosy z pod spodu przeglądają. Kolor tiulu jest różny, bądź biały, bądź też brązowy, albo rudy, ostatnia rzecz jako specyalna nowość. Na czarne włosy często kładzie się kapelusz z brązowego tiulu, gdyż przez ten kolor włosy wydają się jaśniejsze. Kapelusze tiulowe zdobi się rajerami białymi, lub też fantazyami ze słomy, z piór i t. p.

Bardzo obficie używa się także tiulu do przybrania kapeluszy innych, a więc słomkowych lub aksamitnych.

W.

PIOTR SALES

LEKARZ CUDOTWÓRCA

Tłumaczyła MARYA SEGENY.

6

— Gdyby jednak istniała ważna przyczyna...

— Otóż właśnie istniała ta ważna przyczyna — powtórzył z pogardą Gewolski — p. Morel nie chiał, aby dzieci jego nosiły nazwisko brata, którego istnienie ukrywał starannie.

— Ależ, mój ojcze, on przedemną nie robił z tego tajemnicy!

— Czy powiedział ci także, za jaką zbrodnię skazano tego nędznika?

— Ojcze, bądź sprawiedliwy! Niema rodziny, któraby nie nosiła na sobie piętna niezasłużonej skazy! Jestem pewny, że p. Morel byłby mi kiedyś wszystko wyznał...

— Tak, ale zaczął od tego, żeby cię wciągnąć do siebie i skompromitować! A zresztą, łatwo uniknąć odpowiedzialności za czyny brata, skoro się nosi inne nazwisko! Po tem odkryciu zapragnąłem ujrzeć w rękach akta sądowe p. Moreau i dostałem je. Akta twojego Morela czyste były, w drugich wyczytałem, iż brat jego, który dotąd nosi prawdziwe nazwisko, skazany został na lat 15 ciężkich robót, zamienionych na 10 lat ciemnicy.

— Ojcze! to straszne!

— Za zbrodnię lekarską — ciągnął twardym głosem Gewolski — bo to był lekarz i dopuścił się czynu hańbiącego naukę! I ty mnie, doktorowi Gewolskiemu, chcesz uczynić ten wstyd, tę obrazę...

— Ależ ojcze — usiłował bronić swojej miłości Stanisław — czy na zbrodnię podobną opinia ludzka nie patrzy ze stanowiska wiedzy, czy nie znajduje łagodzących okoliczności?

— Nikt niema prawa rozporządzać cudzem życiem!

— Ojcze! Ojcze! miej litość! To niemożliwe! Ja muszę sam przejrzeć te akta, odczytać przebieg sprawy, jej pobudki!

— Nie będziesz zmuszony daleko się trudzić — odparł zimno doktor — jeżeli słowom ojca wierzyć nie chcesz, a oszczędzi ci to, przypuszczam, trochę wstydu przed sądowymi urzędnikami. Akta mam przy sobie. Masz je, czytaj!

Mówiąc to Gewolski rzucił na stół zwój pożółkłych papierów. Pomiędzy kartkami zadrukowanemi niektóre nosiły nagłówek „Gazeta sądowa".

Stanisław drżącą ręką podjął jedną z kartek i oko jego padło na fatalny napis, którego widok dreszczem wstrząsnął całą jego postać:

Zbrodnia dr. Piotra Moreau.

Osoby, które niewykryte zostały przez policyę, wynajęły przy końcu grudnia 189... roku pawilon, mieszczący się w głębi ogrodu przy ulicy Gobelins. Stróżce domu powiedziano, iż mieszkanie potrzebne jest dla pewnej młodej damy, mającej wkrótce zostać matką. Szczęśliwym wypadkiem pawilon był umeblowany i gotowy do natychmiastowego użycia.

Nieznajoma przybyła nazajutrz w nocy. Nikt jej twarzy nie widział, ukrytej pod ciemnym welonem. Stróżka z natury ciekawa, zapamiętała sobie pierwsze wrażenie na widok młodej kobiety. Według jej orzeczenia ciąża nie musiała być jeszcze daleko posunięta, jak to zaznaczyli wynajmujący.

Ale mieszkanie z góry zostało zapłacone, a ona otrzymała sto franków gratyfikacyi, pod warunkiem, że nikt do ogrodu wchodzić nie będzie i niepokoić chorej, stróżce więc nie pozostało nic innego, tylko milczeć. Na drugi dzień po przybyciu nieznajomej do pawilonu wprowadziła się starsza kobieta o surowym wyglądzie i służąca widocznie bardzo przywiązana do swojej pani. Pewnej nocy usłyszano jęki i krzyki, wydobywające się z pawilonu, a nazajutrz dowiedziano się o przyjściu na świat dziecka. Ale o żadnych szczegółach nie mówiono, dwie kobiety, opiekujące się chorą, zachowywały uparte milczenie, jak również dwaj mężczyźni odwiedzający pawilon. Jeden z nich, wysoki blondyn, poważny i cichy, był lekarzem, drugi brunet, zdradzający silne zdenerwowanie i niepokój, o ile sądzić było można z akcentu, musiał być cudzoziemcem. Przypuszczam również, że był nielegalnym ojcem dziecka, którego urodzenie otaczano taką tajemniczością.

Śledztwo wykazało, że przez parę dni panował niezwykły niepokój, słyszano ciągle jeszcze jęki, ale nie było to kwilenie dziecka i widziano dwóch mężczyzn nachylonych nad łóżkiem matki, a z donośnych brzmień głosów i gwałtownych ruchów rąk wywnioskowano, że pomiędzy lekarzem a ojcem wywiązała się kłótnia.

Wieczorem widziano wysokiego blondyna wymykającego się z ogrodu spiesznym krokiem. Powrócił poźno w noc, a stróżka utrzymywała, że ktoś mu jeszcze towarzyszył. Nad ranem wielki ruch zapanował w pawilonie, ktoś krzyczał i groził tak głośno, iż zwróciło to uwagę sąsiadów i wkrótce przez ogród wyszła na ulicę starsza z kobiet, szczelnie owinięta szalem, po niej zaś wkrótce służąca kierująca się w stronę przeciwną... Poczem ukazali się mężczyźni, twarze ich były blade, a ten, którego uważano za lekarza, drżał na całem ciele... drugi, brunet, zachowywał się spokojnie i usłyszano jak mówił stanowczym głosem:

— Proszę pi natychmiast sprowadzić mamkę, resztą sam się zajmę. Mamka ma tu być za godzinę, rozumie pan. To tylko już do pana należy.

— Dobrze, dobrze — odpowiedział tamtem pospiesznie.

— Ja zaś przez ten czas przygotuję wszystko.

W chwili, gdy mieli się rozejść, nadjechały trzy powozy. Nieznajomi ujrzawszy je, w kilku skokach przebiegli ulicę i ukryci za węgłem domu z przestrachem patrzyli przez chwilę w stronę pawilonu, a upewniwszy się, że powozy zatrzymały się przed bramą, znikli w zaułkach ulicy. Nie ujrzano ich nigdy więcej...

Z jednego z powozów wysiadł wysoki człowiek, o oliwkowej cerze, ubrany po europejsku, ale z turbanem na głowie...

— Ojcze — wyszeptał Stanisław — czy to był?...

— Czytaj dalej — rozkazał Gewolski.

...„Towarzyszyło mu dwóch ludzi, którzy okazywali mu wielkie uszanowanie i uniżoność. Z dwóch następnych powozów wysiadł komisarz policyi i ajenci. Nie zatrzymując się szli prosto do pawilonu. W pierwszym pokoju znaleźli na łóżku pokrwawione zwłoki młodej kobiety. Trup był jeszcze ciepły... Obok w gabinecie stał jakiś człowiek, kołyszący na rękach małą istotę, dającą słabe oznaki życia, której sine ciałko wskazywało, iż powołane zostało na świat przedwcześnie. Osobistość nowo przybyła była mężem zamordowanej kobiety...

— Ojcze, przez litość, powiedz — zapytał Stanisław — czy to był książę?

— Dzienniki ówczesne, mój synu, dyskretniejsze były niż nasze. Podały tylko pierwsze litery nazwiska, ale odgadłeś, to był książę.

— A dziecko przedwcześnie urodzone?

— Jest wszelkie prawdopodobieństwo, że była to mała księżniczka Kita, którą widziałeś kiedyś uśpioną na poduszkach powozu. Ale skończmy już, czas na mnie, muszę jechać do opery. Przeczytaj sam resztę tych dokumentów, dowiesz się o szczegółach aresztowania tego nędznika.

— Więc to był naprawdę Piotr Moreau?

— Tak, to był on!

— Ale może był tylko zawezwany do pomocy przez kolegę w ostatniej, decydującej chwili i mógł nic nie wiedzieć o przemyślanej zbrodni!

— Tak się też tłumaczył przed sędziami. Na swoje nieszczęście, posiadał on już wówczas złą bardzo opinię. Znany był z niesubordynacyi w szkołach i lekkiego życia w dzielnicy Łacińskiej. Dziwiono się ogólnie, że potrafił wkońcu zdać wszystkie egzamina i zostać lekarzem. Ale widocznie, jak to mówią, miał medycynę we krwi, odziedziczoną po ojcu, starym zdolnym lekarzu prowincyonalnym. Po skończeniu studyów osiadł w Clamart, żyjąc bardzo nędznie. Do Paryża dojeżdżał wzywany przez kolegów i to zazwyczaj do bardzo podejrzanych operacyi i czynności.

Mateusz Gewolski spojrzał na zegarak.

— Spóźniłem się na pierwszy akt, mogę ci jeszcze poświęcić parę minut. Czy chcesz się jeszcze czego dowiedzieć?

— Proszę cię, ojcze, wytłumacz mi jaśniej całą tę smutną sprawę. Czy i ty sądzisz, że wina spada jedynie na Piotra Moreau? A czy większym winowajcą nie był ojciec tego dziecka, a tamci dwaj byli tylko narzędziami w jego rękach.

— Czy masz na myśli tego, którego uważano za cudzoziemca? W czasie mojego pobytu w Kalkucie dowiedziałem się paru szczegółów, mających związek z tym dramatem. Nie byłbym ci nigdy o nich mówił, gdyby nie obecne okoliczności. Opowiadałem ci już, że książę Kiwani, pan możny i znany, z zamiłowaniem oddawał się naukowym podróżom. Podczas jednej, dłuższej jego nieobecności, żona zdradziła go, lecz książę nigdy się nie dowiedział, kto mu ukradł jej miłość.

— Zapewne jeden z tych nieznajomych z pawilonu?

— To możliwe. Księżniczki indyjskie nigdy prawie nie opuszczały swojego kraju, była to tradycya przechowana od wieków. Ale książę Kiwani, człowiek wielkiej kultury i postępu, nie dostrzegł nic zdrożnego w przekroczeniu tej tradycyi. Gdy księżna objawiła mu pragnienie ujrzenia Europy, zgodził się na nie chętnie, wydał pozwolenie wyjazdu z Indyi i umówiony został zjazd małżonków w Londynie. Księżnej miał towarzyszyć cały orszak służby. Ale rozkaz wydany przez małżonka spotkał się z oporem. Księżna zatelegrafowała, że podróż w takiej asyście wydaje się jej śmieszną i jeżeli chcą ją koniecznie ukryć pod nieprzeniknioną zasłoną wschodnią, nie ujrzy ona tych rzeczy, które widzieć pragnie i taka podróż według jej przekonania jest bezcelową.

Postępowe te myśli, tak mało spotykane u kobiet jej rasy, zachwyciły księcia. Księżna wyjechała mając przy sobie dwóch ludzi, dwie służebne i sekretarza. Ale dziwnym przypadkiem podczas przeprawy morzem, służba razem z sekretarzem zginęła gwałtowną śmiercią, jak poźniej sądzono otruta.

— Więc ta księżna była potworem, mój ojcze?

— A może tylko ambitną kobietą, która za jakąbądź cenę chciała ukryć swoją hańbę i nie stracić książęcej korony. Przybyła więc sama do Paryża, gdzie ją ktoś oczekiwał, a nawet jest prawdopodobieństwo, że ten ktoś towarzyszył jej już od wyjazdu. Księżna była w czwartym miesiącu ciąży gdy opuszczała Indye, podróż zaś trwała trzy miesiące, bo księżna zatrzymywała się w Grecyi i Włoszech, a książę lada dzień powrócić miał z Ameryki. Należało więc narodzenie dziecka przyspieszyć, a wszelkiem przygotowaniem w tym kierunku zajął się kochanek.

— Książę nie dowiedział się nigdy, kim był ten człowiek?

— Nigdy, choć okazał się nieubłaganym dla wspólnika zbrodni, którego zastał przy zwłokach żony. Piotr Moreau, jak ci już mówiłem, do ostatniej chwili wypierał się wspólnictwa. Ale policya i książę w niewinność jego uwierzyć nie chcieli. Sekretarz księcia, którego kiedyś widziałeś w pałacu, wykrył całą piekielną intrygę. Jednakże dzięki wyższym jakimś wpływom zawdzięcza, że umorzono mu w części naznaczoną karę. Teraz, mój synu, zrozumiesz chyba, dlaczego pan Morel nie chciał, aby córki jego nosiły zhańbione nazwisko i nie zadziwi cię prośba moja, abyś nigdy już nie powracał do Sannois.

Ale Stanisław nie odpowiedział na ostatnie słowa ojca. — Blady, z twarzą nerwowo skurczoną wstał i zebrawszy ze stołu fatalne dokumenty, skierował się ku drzwiom.

Oczy doktora Gewolskiego zabłysły gniewem.

— Do stu piorunów! — zaklął. — Czego ty chcesz jeszcze?

— Czego pragnę jeszcze? — powtórzył łagodnie, ale stanowczo Stanisław, zwracając się do ojca — tylko trochę światła! To, co wyczytałem tu i co raczyłeś mi powiedzieć, nie wystarcza dla zaspokojenia mojego sumienia. Widzę z jednej strony ludzi zaślepionych zemstą i nienawiścią — z drugiej człowieka broniącego swojej niewinności, a ty uczyłeś mnie zawsze sprawiedliwości, mój ojcze!

Mateusz Gewolski po wyjściu syna popadł w rozpaczliwe zniechęcenie. — Plan się nie powiódł. Sądził, że go zmiażdży, upokorzy swoją opowieścią, tymczasem zrozumiał jasno, że tylko podniecił walkę, toczącą się pomiędzy nimi dwoma.

— — — — — — — — — — — — — — —

W małym domku w Sannois dnie upływały w smutku i goryczy. Najprzykrzejszą chwilą dla pani Morel było spotykanie się z córkami w pokoju jadalnym przy codziennym posiłku. Najmniejsza drobnostka przywodziła na pamięć tego, którego utraciły tak nagle i w sposób tak niewytłómaczony. Fernanda zawsze podawała ojcu filiżankę czarnej kawy, przyrządzoną troskliwie przez matkę, a Lusia w zamian za kieliszek doskonałego likieru otrzymywała codziennie swoją porcyę: dwa kawałki cukru, umaczane w kawie. A w ciągu obiadu wszystkie trzy na wyścigi wybierały co najlepsze kawałki pieczeni i ryby i składały je na talerzu p. Morela. A jak żartowano i śmiano się przy tem szczerze. A teraz przy tym samym stole siedziały nieruchome, zapłakane, wpatrzone w siebie, rozpaczliwie szukając w sobie wzajemnie iskierki nadziei i otuchy.

Jeżeli przed bramą rozległy się stłumione kroki przechodnia, z okrzykiem biegły ku oknu. Może to ojciec wraca!

I coraz większy smutek ogarniał osamotnione kobiety, bo i Stanisław, dotrzymując obietnicy danej ojcu, nie pokazywał się już w domku swoich przyjaciół.

Urlop, udzielony Fernandzie, dobiegał końca. Młoda dziewczyna z pewną ulgą objęła napowrót swoje urzędowanie; praca uspakajała ją i godziła z życiem, a przytem wolała nie patrzeć na pobladłą, zeszczuplałą twarzyczkę swojej młodszej siostry.

Urzędniczka, zajęta przy telefonie, w przykrych zostaje warunkach. Wymagają od niej poprostu przeistoczenia się w przyrząd, z którym bezustannie ma do czynienia. Powinna znać tylko numera abonentów, a nie ośmielić się rozumieć rozmowy mimowoli dobiegającej ją i nie rozpoznawać głosu mówiącego. A jest to wprost niemożliwe. Bo jakże żądać od człowieka, aby się stał bierną, nieczułą maszyną?

Również przestrzegany bywa bardzo surowo — nakaz zabraniający używania telefonu do rozmowy prywanej.

Już czwarty dzień Fernanda zajęta była zwykłą pracą, gdy nagle około południa dwie koleżanki, znajdujące się niedaleko niej, dosłyszały przeraźliwy jej okrzyk: Ojciec mój! ojciec! Zanim przybiegły, Fernanda zemdlona upadła na ziemię.

Gdy odzyskała przytomność, ujrzała się w infirmeryi zakładowej, otoczona troskliwą opieką dyrektora, sekretarki i kilku koleżanek.

— Zawcześnie powróciła pani z urlopu, panno Fernando — upominał ją serdecznie dyrektor. Rozkażę, aby panią natychmiast odprowadzono do domu.

Ciąg dalszy nastąpi.

Zagadki do nagrody.

Szarada.
Ułożył Staker ze Skawiny.

Powiadam szczerze, otwarcie, bez blagi,
Jest pod Skawiną rzecz godna uwagi.
Wiecie co? *Całość!*
Pierwsza, druga, trzecia,
Rzekłbyś, robota nie ludzka, lecz krecia,
Bo co tam *drugich-szóstych*, tak głębokich,
To znowu *trzecich-szóstych*, dość wysokich...
Tam to wre praca dzień, noc, w każdej porze.
Patrząc się na to przesyłasz „Szczęść Boże!
Lecz dusza twoja pogrążona w smutku,
Bo myślisz: *Całość* czy dojdzie do skutku?
Piąte to tyle wydajem pieniędzy,
By kraj uwolnić od biedy i nędzy.

Przysłowiówka.
Ułożył W. M. Wadowice.

Podane samogłoski połączone odpowiedniemi spółgłoskami utworzą znane polskie przysłowie.

1) o o a o o, ą a ą.
2) o y a, y a a.

Równanie.
Ułożył W. M. Wadowice.

Odpowiednio odgadnięte wyrazy mają każdy mieć tyle zgłosek, ile ich wskazuje mianownik. Z każdego należy wziąć jedną syllabę, a otrzymamy w pierwszem równaniu pseudonim polskiego powieściopisarza, w drugiem tytuł jego dzieła.

$$\frac{a}{3}+\frac{b}{3}+\frac{c}{2}+\frac{d}{2}+\frac{e}{3}=x$$

$$\frac{k}{2}+\frac{m}{4}+\frac{n}{2}+\frac{p}{2}+\frac{s}{3}=y$$

Znaczenie wyrazów: a) Dzień tygodnia. b) Imię męskie. c) Przyrządy, służące do żeglugi. d) Napój. e) Pojazd. k) Ciało lotne. m) Broń sieczna, znana w Polsce. n) Miesiąc. p) Najpopularniejszy napój. 5) Imię żeńskie.

Zadanie do przestawienia.
Ułożył Sz. Kiliński, Kraków.

Z podanych liter ułożyć okrzyk dawnych Rzymian:
A! Widzimy cyno — żabę!

Bilety wizytowe.
Ułożył W. M. Wadowice.

Z liter na biletach ułożyć zawód, względnie godność poszczególnych osób.

LEON Z. KRIG

ERAZM GETYN

ODO PERFIC

RACHELA BUKT

Łamigłówka.
Ułożył Cz. Kozłowski, Warszawa.

Kwadraciki zastąpić w ten sposób literami, aby utworzyły pięć wyrazów równobrzmiących wprost i wspak:

□ a □ a □
□ e □ e □
□ o □ o □
□ e □ e □
□ a □ a □
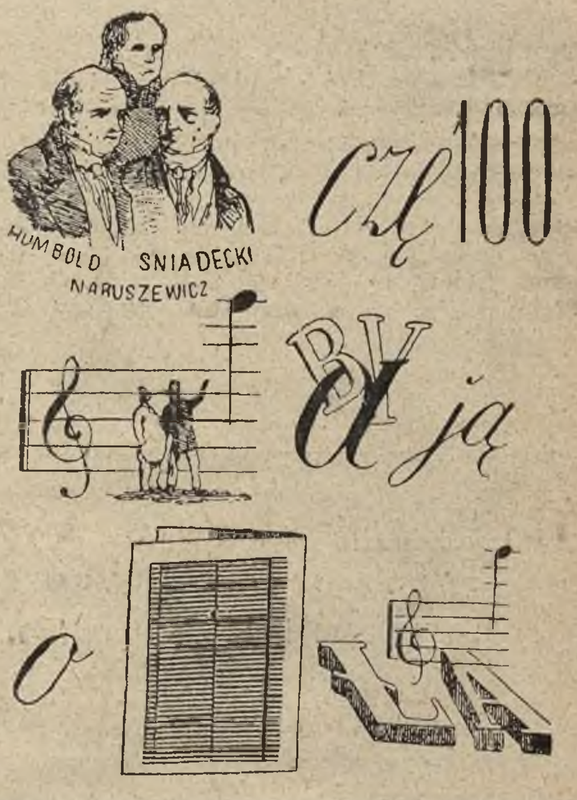
Zadanie do przestawienia.
Ułożył Sz. Kiliński, Kraków.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:
Tęcza i sęki piją i kadzą. W. C.

Zadanie do przestawienia.
Ułożył Gimnazyalista, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:
U! Silna Ewa i dziekan

REBUS.



Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *Romana Wolskiego:* **W pętach anarchistki.** Powieść.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor.: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.